

KRYSTYNA I RYSZARD KORNACCY

CZARNA RÓŻA

**BAŚNIE
I OPOWIEŚCI
Z PODLASIA**



CZARNA RÓŻA

BAŚNIE I OPOWIEŚCI Z PODLASIA



Biblioteczka Bialska

1. W. Nartowski, Karty z przeszłości Białej, 1927.
2. K. Bartoszewicz, Dawna Biała na Podlasiu we wspomnieniach mego dziadka Adama (1792-1878). Przyczynek do dziejów miasta i Gimnazjum, 1928.
3. J. Gloger, Szkoła bialska i czteroletni w niej pobyt J. I. Kraszewskiego (1822-1826). Wspomnienie kolegi szkolnego, 1928.
4. Sprawozdanie Komitetu Obchodu 300-lecia Gimnazjum Męskiego w Białej Podlaskiej, 1930.
5. W. Nartowski, Ze starej teki (garść wiadomości o Białej Podlaskiej i okolicy), 1933.
6. Igliwia smak. Wybór wierszy i opracowanie W. Gromadzki i R. Kornacki, 2001.
7. Sz. Kalinowski, Unici w poezji polskiej, 2001.
8. T. Łazowski, Z Syberii na Podlasie – wspomnienia, 2002.
9. Sz. Kalinowski, Szlakiem Legionów po Podlasiu, 2002.
10. W. Romanowicz, Ekumenizm na Południowym Podlasiu, 2003.
11. Z krwawych dni. Echa wydarzeń listopadowych 1918 roku podczas rozbrajania Niemców w Międzyrzeczu, pod redakcją Czesława Górskiego i Zygmunta Ochnio, 1930. Reprint 2003.
12. Ks. A. Pleszczyński, Bojarzy międzyrzeczcy, 1892. Reprint 2003.
13. J. Geresz, Listopad 1918 na Południowym Podlasiu, 2003.
14. Diagnoza i projekcja sytuacji społeczno-ekonomicznej Powiatu Bialskiego, 2004.
15. Stefan Łada-Grodzicki, Moje Podlasie – poezja i proza, 2004.
16. Mariusz Bechta, Narodowo radykalni. Obrona tradycji i ofensywa narodowa na Podlasiu w latach 1918-1939, 2004.
17. Piotr Semeniuk, Zarys historii parafii pw. św. Barbary w Dołdze, 2004.
18. T. Łazowski, Historie straży pożarnych w powiecie bialskim, 2004.
19. Prezentacje... dwadzieścia lat później. Wybór wierszy członków Klubu Literackiego „Maksyma”, pod redakcją Katarzyny Piątkowskiej, 2004.
20. Julian Czuba, Henryk Odrzygóźdź, Bataliony Chłopskie na Południowym Podlasiu w walce o Polskę wolną, równą i sprawiedliwą, 2004.
21. Zofia Lech, Farmaceuci polscy XIX i XX wieku – losy rodów Eichlerów i Łazowskich, 2005.
22. Katarzyna Piątkowska, „rozPUST(k)A”, tomik wierszy, 2005
23. Wiesław Romanowicz, Młodzież Podlasia wobec wybranych problemów społeczno-religijnych, 2005.
24. Aleksander Wereszko, W szeregach walczącego Podlasia. Wspomnienia oficera AK-WiN w latach 1939-1947, 2005.
25. Krystyna i Ryszard Kornaccy, „Czarna róża” – baśnie i opowieści z Podlasia, 2005.

**Biblioteczka Bialska ukazuje się
pod patronatem Starosty Bialskiego
Tadeusza Łazowskiego**



**KRYSTYNA I RYSZARD
KORNACCY**

CZARNA RÓŻA

BAŚNIE I OPOWIEŚCI Z PODLASIA



Międzyrzec Podlaski 2005

© Copyright 2005 Krystyna i Ryszard Kornaccy

Projekt okładki:
Grażyna Jezierska

Autorzy ilustracji:
Uczniowie Szkoły Podstawowej Nr 2 w Międzyrzecu Podl.
pod kierunkiem Beaty Kosteckiej oraz uczniowie Zespołu Szkół Sportowych
pod kierunkiem Katarzyny Filimon i Andrzeja Kozy

Redaktor:
Ryszard Kornacki

Redaktor techniczny:
Roman Łaziuk

Korekta:
Krystyna Kornacka

Wydawca:

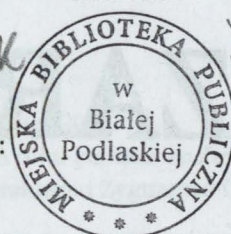
MIĘDZYRZECKIE STOWARZYSZENIE TEATRALNE
W MIĘDZYRZECU PODLASKIM
ORAZ
MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

ISBN 83-913897-9-0

Skład i druk:

Drukarnia „INTERGRAF”, Międzyrzec Podlaski, ul. Warszawska 33

REGIONALIA



Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



Drodzy Czytelnicy!

Naszym **DZIECIOM** i **WNUKOM**

z życzeniami,

by jeszcze raz znalazły się

w zaczarowanym świecie baśni

Autorzy książki składają serdeczne podziękowania
instytucjom i osobom prywatnym za pomoc finansową
w wydaniu niniejszej pozycji:

Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego w Lublinie

Starostwo Powiatowe w Białej Podlaskiej

Bank Spółdzielczy w Międzyrzecu Podlaskim

ANS CENTRUM Sp. z o.o. – Piotr Łopata, Warszawa

MERITUM Sp. z o.o. w Warszawie

AUTIVOX Sp. z o.o. w Warszawie

VOX Sp. z o.o. w Warszawie

Romuald Czopiński

Magdalena i Henryk Ignaciukowie

Maria i Krzysztof Jakubiukowie

Beata i Rafał Kornaccy

Jadwiga i Edward Leszczyńscy

Marzanna i Paweł Puszkarscy

Elżbieta i Stanisław Pytlikowie

Iwona i Leszek Sokołowsky

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy Wam do rąk zbiór baśni i legend związanych z Podlasiem, w szczególności zaś z Międzyrzecem Podlaskim i jego okolicami.

Na wstępie cytujemy piękne i pouczające zdania wypowiedziane przez profesora psychologii i psychiatrii Bruno Bettelheima, który w książce pt. *„O znaczeniach i wartościach baśni”* (PWN, Warszawa 1985) stwierdza: „Baśń to elementarz, z którego dziecko uczy się czytać we własnym umyśle, elementarz napisany w języku obrazów. Jest to jedyny język, dzięki któremu możemy rozumieć siebie i innych, zanim dojrzejemy intelektualnie”. W innym miejscu mówi: „Osobom dorosłym, które w dzieciństwie pozbawione były możliwości obcowania ze światem baśniowej wyobraźni lub też stłumiły związane z tym wspomnienia – baśnie wydawać się mogą bezsensowne, dziwaczne, straszne i całkowicie nieprawdopodobne. Dziecku i dorosłemu, który, jak Sokrates wie, że dziecięcość trwa w najmądrzejszej części naszego „ja”, baśnie odsłaniają wielkie prawdy o nim samym i o ludzkości”.

Sami możecie więc zauważyć, jak wielką rolę przypisuje się baśniom. I nie ma wśród nas człowieka, który nie lubi ich czytać. Obcujemy z nimi już od wczesnego dzieciństwa. Pozwalają one uciec od rzeczywistości często surowej, okrutnej, by potem zaprowadzić do krainy wiecznej szczęśliwości. W tym wytęsknionym świecie rządzą prości, zwyczajni ludzie, prawo głosu mają ułomni i pokrzywdzeni przez los. Tak często – niestety – dzieje się tylko w baśniach, gdyż one odzwierciedlają ukryte marzenia i pragnienia ludu.

W książce, którą trzymacie w rękach, znajdziecie utwory zapisane z bezpośrednich przekazów ustnych mieszkańców podlaskich wsi: Turowa, Pościsz, Miś, Ostrówek, Olszewnicy, Grabowca oraz Międzyrzeca Podlaskiego. Zapisał je podczas swoich wędrówek po okolicznych lasach międzyrzecki nadleśniczy Witold Pracki, a następnie wydrukował w latach 1903–1905 w krakowskim czasopiśmie ludoznawczym „Wisła” w tomach 17, 18 i 19.

W „Czarnej róży” poznacie też opowieści i legendy, które autorzy tej książki napisali w oparciu o zapiski księdza Adolfa Pleszczyńskiego – międzyrzeckiego proboszcza żyjącego na przełomie XIX i XX wieku, historyka i regionalisty, który pasjonował się przez wiele lat również folklorem Międzyrzecczyzny.

W swojej pracy zatytułowanej „Bojarzy międzyrzeccy” opublikowanej po raz pierwszy w 1892 r. i wznowionej dopiero w 2003 r. przez wydawnictwo Romana Łaziuka zawarł wiele ciekawych materiałów w formie baśni, opowieści, podań, przysłów, które zasłyszał od miejscowej ludności. W rozdziale „*Literatura ustna ludu. Proza*” odwołuje się do wielkiego poety Adama Mickiewicza, który nazwał pieśni ludu „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty”.

Oczarowani pięknem ludowych zapisków odnotowanych przez Witolda Prackiego (pseudonim Witowt) i ks. Adolfa Pleszczyńskiego, postanowiliśmy zająć się opracowaniem artystycznym wybranych baśni, legend i opowieści.

Materiał przeszedł nasze oczekiwania. Motywy tematyczne, postaci bohaterów, oraz inne komponenty zapisanych baśni wskazywały poniekąd na pokrewieństwo z tzw. baśnią klasyczną. Kontrastowe zestawienia charakteryzujące postaci (bogaty-biedny, głupi-mądry, litościwy-okrutny itp.) uwydatniały konflikty międzyludzkie, dynamizujące narrację.

W zapisanych baśniach obok ludzi i zwierząt działają także istoty i przedmioty obdarzone siłą magiczną. Dzięki niezwykłym zbiegom okoliczności jednostka pokrzywdzona (najmłodsze lub prześladowane dziecko, sierota, wdowa, człowiek ubogi) zdobywa bogactwo, władzę, szczęście, pokonuje duże obszary przestrzeni, zmartwychwstaje itp.

Można zatem stwierdzić bez przesady, że utwory te zasługują na bliższe poznanie. Baśnie i legendy są bowiem skarbnicą wierzeń i tęsknot człowieka za prawdą, sprawiedliwością, szczęściem i pięknem.

I jeśli uda nam się w części przybliżyć Was, Drodzy Czytelnicy, do magicznego świata baśni, będziemy zadowoleni z pożytku naszego trudu.

Krystyna i Ryszard Kornaccy

OPOWIEŚĆ

O MIĘDZYRZECKIM DZIEDZICU



IEJSCE, na którym powstało nasze miasto, kiedyś, dawno temu wyglądało zupełnie inaczej. Tereny te porastały bujne lasy, nie brakło też przestrzeni pustych i dzikich.

Międzyrzec* swoją nazwę otrzymał najprawdopodobniej dlatego, że położony jest między trzema rzekami. Największa Krzna przecina Międzyrzec od zachodu ku wschodowi, dzieląc go na Stare i Nowe Miasto. Druga rzeka Zna wpada do Krzny na wschodzie, a trzecia Piszczka na zachodzie. Położenie nad rzekami było bardzo korzystne dla osiedlania się ludności.

Pierwsze wzmianki o powstaniu Międzyrzeca mamy około 1390 roku**, kiedy to król Jagiełło nadał włości Międzyrzec i Stołpno Abrahamowi Chamcowi za wierną służbę rycerską (na mocy unii polsko-litewskiej tereny te wchodziły w skład państwa litewskiego). Być może po bezpotomnej śmierci Abrahama Chamca książę litewski Witold przekazał ponownie Międzyrzec Mikołajowi Nasucie, rycerzowi wywodzącemu się również jak poprzednik z Jaxów herbu Gryff, którego nazywano Chytrym czyli Nosalem. Był on osiadłym Mazurem i bardzo zabiegał o względy władców litewskich, co pomnożyło jego majątek i przyczyniło się do zamożności.

Książę Witold nadał mu tytuł wojewody oraz godność starosty drohickiego*** i sędziego tych ziem. Po śmierci Witolda Międzyrzec przypadł jako ojcowizna Zygmuntowi Kiejstutowiczowi. Ziemia nasza nie była spokojna ani też wolna od wojen, ponieważ książęta litewscy byli ze sobą skłóceni i często prowadzili bratobójcze walki. Na dowód tego opowiem

Wam przypowieść o Mikołaju Nasucie, późniejszym dziedzicu Międzyrzeca.

Działo się to najprawdopodobniej wtedy, kiedy to Zygmunt Kiejstutowicz wystąpił przeciwko Bolesławowi Świdrygielle, który dążył do zerwania unii.****

Kiedy po ciężkich bojach, księżę Zygmunt utrudzony zasnął, wtedy niespodziewanie otoczyły go wojska Bolesława. I niechybnie księżę zginąłby z ręki wroga, gdyby nie wierny rycerz Mikołaj Nasuta, który narażając własne życie, odparł atak na śpiącego króla.

Zygmunt Kiejstutowicz, wdzięczny Nasucie za uratowanie życia tak powiedział: „Nasuto, za to coś mi dziś wyświadczył, ziemia ta, na której stoimy, naokoło twoją będzie, jak ją daleko i szeroko objedziesz przez całą dobę. I tak się stało”.

Zygmunt Kiejstutowicz, który słynął ze swej hojności, potwierdził nadanie Międzyrzeca i Stołpna w 1434 roku. Podarował mu jeszcze okoliczne wioski, które Nasuta chętnie przyjął. I w taki właśnie sposób Mikołaj Nasuta został jednym z pierwszych dziedziców Międzyrzeca.

* Ks. Adolf Pleszczyński: *Opis historyczno-statystyczny parafii międzyrzeckiej*, Międzyrzec Podlaski 2000 r., s. 13.

** Józef Geresz: *Międzyrzec Podlaski. Dzieje miasta i okolic*, Międzyrzec Podlaski 2001 r., s. 17-18.

*** Międzyrzec wchodził wtedy w skład powiatu drohickiego.

**** Ks. A. Pleszczyński: *Bojarzy międzyrzeccy*, Międzyrzec Podlaski 1892-2003 r., s. 130-131.

O ŻŁOTYM, SREBRNYM I BRĄZOWYM ŻWIRKU



IE myślcie, że to będzie opowieść o dobranockowym Żwirku i Muchomorku. Nie, nic mylniejszego! Będzie to baśń o między-rzeckim Żwirku, zamieszkującym wyrobiska żwirowni w okolicy pobliskiej wioski – Berezy.

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze nie wydobywano żwiru z międzyrzeckiej żwirowni, jak powiadali starsi ludzie, żył sobie spokojnie i dostatnio w głębinach wody i żwiru król tych ziem – Żwirek. Był bardzo szczęśliwy, bo nikt nie mącił mu spokoju. Postać jego przypominała sylwetkę człowieka. Był niewielkiego wzrostu, nosił bogate złote szaty i miał długą brodę. W swoich opowieściach ludzie nazywali go Żłotym Żwirkiem. Był więc niekoronowanym królem żwirowni.

Tak przeżył wiele, wiele lat. Czasami tylko, w nocy wyłaniał się z głębi ziemi, by spojrzeć na ludzki świat i sprawdzić czy wszystko jest w porządku.

I tak na pewno trwałoby wiecznie, gdyby na żwirowiska nie wjechały koparki, które zaczęły ryc ziemię i wykopywać żwir. Przeraźliwy huk i warkot maszyn zmałyły święty spokój Żwirka. Początkowo nie wiedział, co się dzieje. Postanowił więc zaszyć się jak najgłębiej pod ziemię, aby uniknąć niechybnej śmierci. Jak postanowił, tak uczynił. Ta decyzja dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Wiedział jednak, że nie na długo.

Kiedy zapuszczał się w głąb ziemi, spostrzegł, że znalazł się w jakimś podziemnym królestwie. Na spotkanie wyszła piękna Nieznajoma i zdziwiona zagadnęła.

- Dzień dobry – skąd się tu wzięłeś dobry człowieku?
- Witam cię i z góry przepraszam za tą niespodziewaną wizytę.

– Zszedłem tu, tak bardzo głęboko, ponieważ maszyny wdarły się do mego domu i bardzo go zniszczyły, ledwie uszedłem z życiem.

– Dlaczego, kto zniszczył twój dom? – zapytała.

– Nie wiem, to było coś strasznego! Usłyszałem tylko ogromny huk i warkot. Zobaczyłem, jak jakieś wielkie łopaty zabierały żwir i wynosiły go na powierzchnię ziemi.

– Domyślam się, co się stało. – To sprawa ludzi, którzy wydobywają żwir, nie wiedząc, że my żyjemy w czeluściach tej ziemi.

– Jak to nie wiedzą? – zapytał Żwirek, przecież kiedyś opowiadali o Żwirkach piękne opowieści.

– Tak, to prawda, ale to już było bardzo dawno temu.

– Myślę – powiedziała – nie robią tego specjalnie, żeby nas zniszczyć, ani nam dokuczyć.

– To dlaczego tak się dzieje?

– Ludzie muszą wydobywać żwir, bo jest to bardzo cenny i niezbędny materiał budowlany.

– No dobrze! Ale co z nami będzie? – zapytał zaniepokojony Żwirek.

Nieznajoma długo się zastanawiała zanim zdobyła się na odpowiedź.

– No, cóż w takiej sytuacji, ja również jestem zagrożona. Trzeba znaleźć jakieś sensowne wyjście.

– Tak, to prawda, tylko jakie? – zapytał Żwirek.

– Poczekaj, muszę się skupić, by spokojnie wszystko przemyśleć. Wiesz przecież, że pośpiech, nie jest bardzo wskazany.

– Daj mi trochę czasu, no powiedzmy do jutra rana, lubię myśleć nocą.

– Dobrze – odpowiedział Żwirek.

– Do zobaczenia rano!

– Do widzenia.



Monika Dudzińska, kl. IV d

Tymczasem Żwirek zaszył się w najciemniejszym kącie, by nie przeszkadzać Nieznajomej i chciał usnąć. Jednak te dziwne wydarzenia i to niespodziewane spotkanie nie dawało mu spokoju. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, że nawet nie zdążyli się sobie przedstawić. Zastanawiał się, kim jest tajemnicza Nieznajoma i dlaczego nigdy dotąd się nie spotkali? Czy musiało się wydarzyć nieszczęście, by przekonać się, że w pobliżu żyje jeszcze ktoś na kogo można liczyć?

Jeszcze tak długo myślał i myślał, aż w końcu z ogromnego wysiłku i wielkości wrażeń zasnął. Kiedy otworzył oczy, zobaczył Nieznajomą, która siedziała w swym ogromnym fotelu i wpatrywała się w jakieś grube, stare księgi.

– Dzień dobry – powiedział Żwirek.

– A, dzień dobry – odpowiedziała dziewczyna.

– Przepraszam, że ci się nie przedstawiłem – zaczął rozmowę.

– Nazywam się Żwirek, w opowieściach ludzie nazywają mnie Złotym Żwirkiem, chyba dlatego, że noszę złote szaty. Jestem synem Złotego Żwirka, króla tych terenów, który już dawno nie żyje, jak zresztą cała moja rodzina. Zostałem sam na tym świecie.

– Co za dziwny zbieg okoliczności – powiedziała.

– Ja jestem córką Srebrnego Żwirka, który też już zmarł dawno temu i też podobnie jak ty, jestem sama.

– Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że czuję się znacznie pewniej i bezpieczniej odkąd dowiedziałam się o twoim istnieniu – rzekła dziewczyna.

– Ale posłuchaj, co przez tę noc wymyśliłam. Otóż, nie możemy już dłużej tu pozostać, bo ludzie będą kopać coraz głębiej i głębiej, to jest nieuniknione. Musimy znaleźć sobie inne miejsce z dala od tych maszyn i tego huku, który słychać coraz bliżej.

– Co proponujesz Srebrna, bo tak zaczął nazywać Nieznajomą?

– Musimy przenieść się na inne żwirowisko, w kierunku wsi Zahajki. Tu ludzie wykopali już żwir, a miejsca po nim pozostałe wypełniła woda. To znak, że już tu nie wrócą. Myślę, że tutaj będziemy bezpieczni.

– Skąd wiesz, że nam już tu nic nie grozi?

– Wyczytałam to w mądrych księgach, które pozostawił mój ojciec.

– W takim razie, zgadzam się – odpowiedział Żwirek.

Nocą kiedy wszystko ucichło, przenieśli się do nowego miejsca, głęboko pod powierzchnię ziemi. I odtąd zaczęli życie we dwoje. Wzięli ślub wedle obyczajów swoich przodków i poprzysięgli sobie miłość i wierność, jak przystało na małżonków. Po roku Srebrna urodziła pięknego chłopca, który podobny był i do mamy i do taty. Z mieszaniny złotego i srebrnego koloru małe dziecko wydawało się być brązowe, dlatego nazwali je Brązowym Żwirkiem.

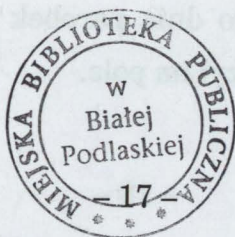
Ludzie mówią, że teraz tam, gdzie są kąpieliska na żwirowni, głęboko pod ziemią, żyją spokojnie Złote, Srebrne i Brązowe Żwirki.

Tak naprawdę nikt ich teraz nie widział, lecz starzy ludzie o nich pamiętają, twierdzą, że na pewno widzieli jak nocą wychodzą popatrzeć na świat.

– Jak myślicie – jeżeli tak mówią ludzie to chyba musi to być prawda?

No i na pewno warto im wierzyć.

*Opowiedziała Kazimiera Ciesielczuk
z Międzyrzecza Podlaskiego*



JAK DIABEŁ ZOSTAŁ PAROBKIEM?

DEWNEGO dnia biedny gospodarz orał swoje pole. Miał taki zwyczaj, że na drażkach sochy* zostawiał kawałek chleba, który miał mu wystarczać za posiłek na cały dzień.

Wkrótce na polu zjawił się diabeł i jak to diabeł, zawsze lubił płatać figle, tak i teraz się stało. Szybciutko ukradł chłopu chleb, ponieważ spodziewał się, że chłop bardzo się rozzłości i zacznie pomstować na Pana Boga, nie wiedząc za co został ukarany.

Kiedy oracz chciał się posilić, patrzy, a tu nie ma chleba. Rzecz wtedy:

- Toć głodny jestem, ale tamten, co wziął, musiał być głodniejszy.
- A, niech tam! Na zdrowie – powiada i wrócił do przerwanej pracy.

Pan Bóg patrzył na to zdarzenie zza wielkiej chmury i postanowił ukarać diabła. Za karę diabeł miał przez rok służyć u gospodarza za parobka. Bies, rad nie rad, musiał wykonać polecenie Pana Boga. Przychodzi do chłopu i tak powiada:

- Gospodarzu, chciałbym u was służyć za parobka.
- Ja sam nie mam za wiele co jeść, a na parobka nie mam pieniędzy – odpowiedział chłop.
- A diabeł na to – ja nie chcę pieniędzy, tylko za dach nad głową i dobre słowo będę ci służył.

Chłop bardzo się zdziwił, lecz nie powiedział nie.

Diabeł w mig pokazał swoją zwinność. Robota paliła mu się w rękach, a może lepiej w łapach.

Wkrótce nadeszła pora żniw, roboty w polu było co nie miara. I ani się chłop obejrzał, jak jednego dnia parobek zżał wszystko żyto. Chłop stanął jak wryty, kiedy popatrzył na pole.



Oktawia Prokopiak, kl. IV d

– No dobra, ale jak teraz to wszystko zwieźć do stodoły? – zapytał głośno.

Nagle coś zaczęło huczeć, zerwał się ogromny wiatr, a tumany kurzu zakryły chłopu oczy. Skrył się więc szybko do swojej chaty. Kiedy wszystko się uciszyło, chłop wyszedł na podwórze i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na polu nie było ani jednego snopa, wszystkie zostały zwiezione do stodoły.

– Jezu Chryste, a to jak?

I wtedy pojawił się diabeł we własnej osobie i powiedział:

– Dziś moja służba się kończy, a com zrobił, to za ten chleb, com ci go wziął, bo ja chociaż diabeł, ale nie złodziej, i mam ci swój honor.**

*Socha – dawne narzędzie do orania pola

** ks. A. Pleszczyński: Bojarzy międzyrzeccy, Międzyrzec Podl. 1892-2003 r., s. 128.
Porównaj St. Chełchowski: Powieści i opowiadania z okolic Przasnysza, s. 100.

KOGUT I WIATR



DAWNO, dawno temu przez siedem lat nie wiał wiatr. Przyczyną jego buntu i bezczynności była rozpacz z powodu śmierci syna. Wyniósł się więc hen, hen daleko i opłakiwał zgon swego dziecka.

Nie pomogły żadne prośby, zaklęcia i tłumaczenia mieszkańców okolicznych wiosek. Wiatr zaciął się i nie chciał nikogo słuchać.

Aż tu pewnego razu przyszedł do niego kogut i pyta:

– Dlaczego się bracie tak smucisz?

– Nic nie robisz, nie wiejesz, przez ciebie ludzie, zwierzęta, ptaki i rośliny nie mogą normalnie żyć – mówił dalej.

– Przez ciebie świat zarósł pajęczyną, wody zatęchły, a ludziom i zwierzętom ciężko oddychać – przekonywał kogut.

Wiatr go wysłuchał, lecz nic nie odpowiedział i pogrążył się w swoim wielkim smutku. Kogut jednak nie dawał za wygraną. Niewiele myśląc, wskoczył na płot i zapiał z całych sił.

– Kuku – ryku! Jam wesół, bo moich synków po stu na dzień się lęgnie!

– Kuku – ryku! – zapiał ponownie.

I to ostatnie głośnie kuku... tak rozśmieszyło wiatr, że i on roześmiał się z całej mocy.

I nagle wszystko się zmieniło i wróciło do starego porządku.

Ludziom i zwierzętom lżej było oddychać, słyszało się szelest liści na drzewach, a „kwiatki z radości zapachniały”.

I tak już pozostało, wiatr wiał jak dawniej, a kogut cieszył się, że udało mu się rozśmieszyć wiatr i z tego powodu nosi dumnie głowę.*

* ks. A. Pleszczyński: Bojarzy międzyrzeczcy, Międzyrzec Podl. 1892-2003 r., s. 100.

Porównaj St. Chęłchowski: Powieści i opowiadania z okolic Przasnysza, s. 100.



Izabela Antoniuk, kl. IV s

MŁYNARZ PRZEMIENIONY W NIEDŹWIEDZIA

DZIAŁO się to dawno, dawno temu, kiedy to jeszcze Pan Jezus chadzał po ziemi. Bardzo bacznie obserwował, co się na tym świecie urodziło. I tak sobie lubił wędrować. Podziwiał potęgę pięknych dębów i świerków, różnorodność kwiatów i traw. Spotykał po drodze rozmaite owoce, którymi się pożywiał. Lubiał zatrzymywać się nad stawami, jeziorkami i rzekami. Był bardzo zadowolony z piękności i obfitości ziemi.

Pewnego dnia postanowił zajrzeć do ludzi. Gdy tak szedł, solidnie już zmęczony, zobaczył młyn, więc wstąpił do niego, by porozmawiać z młynarzem.

– Niech będzie pochwalony – powiedział Pan Jezus.

– Co u was słyhać dobry człowieku?

– Widzę, że sobie dobrze radzisz i niczego ci nie brakuje – ciągnął dalej.

Młynarz widząc wędrowca, pomyślał sobie, że przyszedł do niego po prośbie, aby dostać jałmużnę, a że był bardzo skąpy, postanowił go przechytrzyć.

– Witajcie dobrodzieju – odpowiedział – Tymczasem rozgość się, a ja zaraz wrócę.

I szybciutko pobiegł do komory, ubrał się w kozuch, nałożył go na lewą stronę – wełną na wierzch i zaczął naśladować niedźwiedzie straszidło.

Chytry młynarz pomyślał, że w ten sposób pozbędzie się nieproszonego żebraka. Tak przebrany stanął przed Panem Jezusem i zaczął okropnie ryczeć.



Marlena Tarcz, kl. VI a

Zdziwiony przybysz spojrział na młynarza i wnet go rozpoznał.

Wtedy tak do niego powiada:

– Skoro udajesz niedźwiedzia, to nim zostań. Niech tak się stanie.

I tak się stało.

Młynarz za karę został przemieniony w niedźwiedzia i pozostanie nim aż do sądu ostatecznego.*

* ks. A. Pleszczyński: *Bojarzy międzyrzeczcy*, Międzyrzec Podl. 1892-2003 r., s. 130.

DLACZEGO BOCIANA NAZYWAMY WOJTKIEM*?



AMIĘTAM, jak znajomi mojej babci wyglądali z utęsknieniem wiosny i przylotu bocianów do gniazda uwitego na dachu ich stodoły.

Kiedy w końcu przyleciał, mówili, że wrócił Wojtek ze swoją bocianią żoną.

Zapytałam, dlaczego boćka nazywają Wojtkiem? – opowiedzieli mi taką oto przypowieść:

Kiedys, bardzo dawno temu Pan Bóg zebrał wszystkie żaby i gadziny** na wielki wóz i kazał pewnemu człowiekowi o imieniu Wojtek wywieźć je do morza. Postawił mu tylko jeden warunek, żeby pod żadnym pozorem nie zaglądał do środka.

Jednak ciekawski Wojtek nie usłuchał polecenia i zajrzał.

Wtedy wszystkie stwory uciekły z wozu i rozpełzły się po ziemi.

Za karę Pan Bóg przemienił Wojtkę w bociana i kazał mu te wszystkie gadziny zbierać do końca świata.***

* Bociana tutejszy lud często nazywa Wojtkiem.

** Gadziny – płazy, gady, pełzające zwierzęta jadowite.

*** ks. A. Pleszczyński: *Bojarzy międzyrzeccy*, Międzyrzec Podl. 1892-2003 r., s. 130.



Michał Jankiewicz, kl. V p

O ŻYDZIE CO NA EWANGELII ZROBIŁ DOBRY INTERES*



YŁ kiedyś taki zwyczaj, że nauki misjonarskie odbywały się na placu kościelnym, by zapewnić dostęp większej ilości wiernych. Przypadkowo znalazł się tam Żyd, który jak wiecie, był wyznania mojżeszowego, czyli innego niż nasze – katolickie. Kiedy wmieszał się w tłum ludzi usłyszał następujące słowa Ewangelii wypowiedziane przez misjonarza:

*„Kończcie a otworzą wam,
proście a będzie wam dane,
szukajcie a znajdziecie”.*

Usłyszane słowa nie dawały mu spokoju więc postanowił sprawdzić czy może być tak naprawdę.

Na początku nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać, lecz przemożna chęć uczynienia pożytku z usłyszanej nauki była silniejsza od wszelkich wątpliwości.

Pomyślał, że mógłby ożenić się z córką hrabiego. Postanowił nie zwlekać i poszedł do pałacu. Kiedy służby spostrzegli, że ktoś dobija się do pałacowych drzwi, zawiadomili hrabiego, a ten kazał go wpuścić. I tak sprawdziły się pierwsze słowa, które usłyszał: „Kończcie a otworzą”.

– Dzień dobry, Jaśnie Panie – pokłonił się nisko Żyd.

– Co ty tu szukasz? Czego chcesz? – zawołał hrabia.

– Ja chcę ożenić się z córką pana hrabiego – odpowiedział.

Pan hrabia na moment oniemiał ze zdumienia.

– Ty głupi Żydzio! Jak ty się możesz ożenić z moją córką – zawołał hrabia.

– Po pierwsze jesteś nieochrzczonym Żydkiem, a po drugie nie masz tyle pieniędzy co ja, ty jesteś za biedny na hrabiowskiego zięcia – powiedział hrabia.

I tak biedny Żyd odszedł z kwitkiem, lecz nie dawał za wygraną. Szedł więc sobie i tak pomyślał.

– Ochrzcić to bym ja się mógł, ale skąd wziąć pieniądze? – pytał głośno samego siebie.

– Nu, coś zrobić, trzeba szukać – postanowił.

I szedł wciąż przed siebie, aż tu nie wiedzieć kiedy znalazł się w lesie. Gdy wszedł w głąb między drzewa, natrafił na chatę pustelnika.

Żyd zapukał do jego drzwi i pustelnik go wpuścił.

– A dokąd ty idziesz? – zapytał zdziwiony.

Wtedy Żyd opowiedział mu swoją historię.

Pustelnik bardzo spieszył się na modlitwę, więc kazał Żydowi zostać w domu do swego powrotu.

– Mój braciszku, teraz nie mam czasu – powiada.

– Masz tu moje księgi, poprzeglądaj je sobie zanim wrócę.

– Tylko mi nie ruszaj tego dzwonka, co na stole stoi – powiedział starzec.

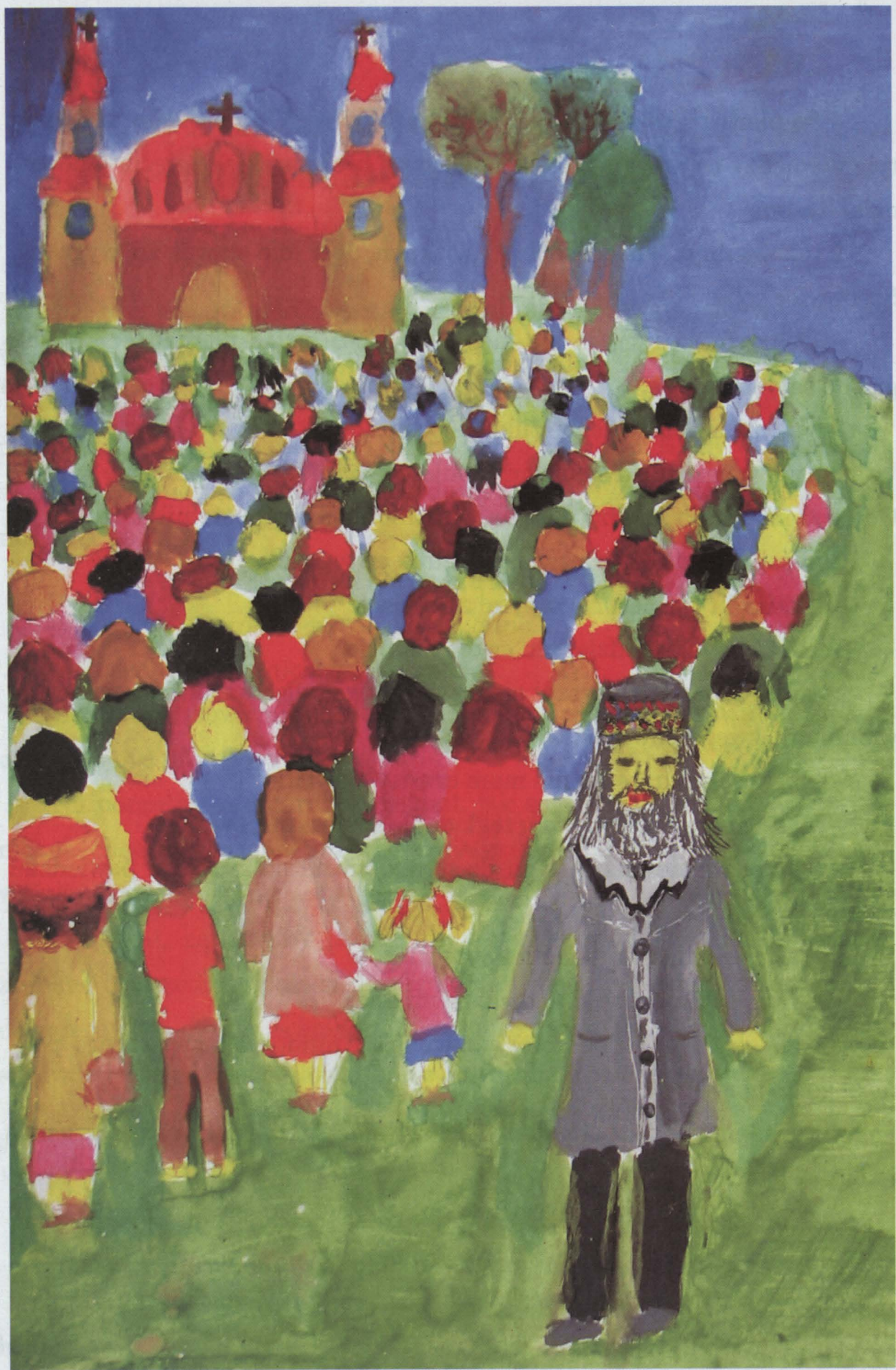
Popatrzył Żydek na książki i pomyślał:

– E tam, takie grube księgi, po co mi one?

Korcił go bardzo tajemniczy dzwonek i mimo zakazu starego podniósł go do góry.

A tu nagle spod dzwonka wyskoczył diabeł. Starannie się otrząsnął i tak powiada:

– O niech wszystko na dobre ci wyjdzie, toć mnie ten siwy pies już przez dwadzieścia lat pod tym dzwonkiem trzymał. Patrz, jużem się zgarbił. Powiedz, czego chcesz, dam ci wszystko za to, żeś mnie wybawił – rzekł bies.



Beata Pożarycka, kl. VI b

– Pieniędzy! – bez namysłu odpowiedział Żyd.

– Chodź ze mną, dam ci tyle pieniędzy, ile tylko zechcesz – wyszeptał uradowany diabeł.

– Jestem rad, że moja niewola się wreszcie skończyła – dodał czort.

Zapuscili się daleko w las, diabeł okręcił skałą, a Żyd w jej wnętrzu zobaczył dużo złotych i srebrnych monet.

I tak spełniły się następne słowa Ewangelii „szukajcie a znajdziecie”.

Żyd był bardzo zadowolony z ilości podarowanych pieniędzy, lecz cały czas myślał, jak tu się pozbyć diabła i jak dotrzymać słowa danego pustelnikowi?

– Co ty tak na mnie patrzysz? – zapytał diabeł.

– Nu, nu, ja patrzę co Jaśnie Pan taki duży, a pod „ten dzwonek wlaż?”

Diabeł mu na to:

– Ty głupi, ja bym i teraz wlaż.

Żydek z niedowierzaniem wzruszył ramionami.

– Nu, nie może być – powiedział.

– No to spróbujmy – nalegał diabeł.

Żyd tylko na to czekał.

– Nu, spróbujmy – powiedział.

Diabeł wskoczył na stół, a Żyd położył dzwonek na jego głowie.

– Aleś ty duży, to jak się tu zmieścisz? – zdziwił się.

– Mam swoje diabelskie sztuczki i potrafię się zmniejszać – przechwalał się diabeł.

– Prawda, trochę pan mniejszy, ale jeszcze dużo pana widać – odpowiedział Żyd.

– Aleś, ty głupi, jak bym chciał, to cały bym się zmniejszył.

– Nie może być – powątpiewał Żyd.

Diabeł przysiadł i mówi:

– No, patrz, już wcale mnie nie widać.

– Nu, jeszcze nogi widać – powiedział Żyd.

Aż wreszcie diabeł się całkiem skurczył, a Żyd natychmiast przykrył go dzwonkiem. Bardzo się przy tym napocił i namartwił – lecz był z siebie zadowolony, że przechytrzył diabła, dotrzymał słowa danego pustelnikowi, no i miał pieniądze.

Nie wiadomo kiedy znalazł się u drzwi hrabiego i głośno zastukał.

– A, któż to znowu się dobija? – zapytał hrabia.

– Nu, jak to kto, to ja, mam już pieniądze – powiedział z dumą Żyd.

– Proszę mi dać trzy furmanki, to zaraz je przywiozę.

Hrabia kazał sługom zaprzęgać konie i jechać we wskazane przez Żyda miejsce. I tak się stało. Żyd przywiózł trzy furmanki, pełne złota i srebra, ochrzcił się, ożenił z córką hrabiego i stał się wielkim panem.

Ludziskom, którzy się dziwowali, jak ten Żyd wkradł się w pańskie łaski odpowiadał:

– Nu, widzita, czasem i Ewangelii posłuchać to dobry interes.**

* Spisał bojar ze wsi Pościsz: Franciszek Piotrowicz

** ks. A. Pleszczyński: *Bojarzy międzyrzeccy*, Międzyrzec Podl. 1892-2003 r., s. 122-124.

O STARYM OJCU I TRZECH SYNACH



W E wsi Turów, położonej w okolicach Międzyrzeca Podlaskiego, mieszkał biedny wdowiec z trzema synami. Źle im się wiodło, lecz żyli zgodnie i sprawiedliwie. Ciężko pracowali przy karczowaniu lasów. Troskliwy ojciec chciał, by każdy z synów znalazł sobie lepsze zajęcie i popłatniejszy zarobek. Nie chciał jednak rozstawać się z nimi i długo odkładał swoje postanowienie. W końcu jednak wezwał ich do siebie i powiada:

– Siadajcie, moi synkowie i uważnie słuchajcie. Postanowiłem, iż każdy z was pójdzie w świat szukać lepszej pracy. Jesteście młodzi i zdrowi więc los się do was uśmiechnie. Za siedem lat powrócicie do mnie. Ja choć jestem już stary, dożyję, by was zobaczyć.

– Ojcie, odezwał się najstarszy – Janek. Ja zostaję, nie zostawię cię samego, będę z tobą pracował.

– Nie, drogi synu. Ja wiem, że ty i twoi bracia macie dobre serca, lecz taka jest moja wola. Zbierajcie swoje węzełki, bierzcie chleb, po trzy grosze i o świcie wyruszajcie.

Pozostali bracia już nie odezwali się słowem, gdyż wiedzieli, że postanowienia ojca nikt, ani nic nie może zmienić. Nazajutrz skoro świt, ojciec pożegnał ich tymi słowy:

– Wyruszajcie w drogę, bądźcie dobrzy i szlachetni. Za siedem lat chcę was widzieć na progu naszego domu.

Synowie ucałowali rękę ojca i poszli, każdy w inną stronę.

Janek powędrował na południe, średni syn – Kacper – na wschód, najmłodszy zaś Bartłomiej – na północ.

Wędrowali bardzo długo. Każdy z nich mijał wiele miast i wsi, widział wielu ludzi. Żywili się tym, co napotkali w lesie, czy rzece, a kiedy zapasy jedzenia kończyły się, trzeba było szukać jakiejś pracy.

Janek choć silny i zdrowy, nie miał już sił dalej wędrować, położył się więc na skraju lasu i niewiadomo kiedy zasnął, i spał nie wiedzieć ile.

Gdy otworzył oczy, zobaczył koło siebie jakiegoś staruszka i młodą dziewczynę.

– Gdzie jestem? – zapytał. Szybko podniósł się ze swego leśnego posłania, obciągnął zgrzebną koszulę i poprawił włosy.

– Gdzie jesteś? – pytasz – odezwał się starzec, ano spotkałeś dobrych ludzi. Jestem kowal Mateusz, a to moja córka Marysia. Widać, że jesteś mocno utrudzony drogą, boś spał jak suseł.

– Tak, już długo wędruję i szukam pracy.

– A, to dobrze się składa – powiada starzec. Moja kuźnia już dawno wygasła, bo sam nie dam rady ruszać miechem, syna nie mam, nie ma mi kto pomagać. Jakbyś chciał zostać u nas bylibyśmy bardzo radzi – mówiąc to starzec spoglądał na zarumienioną Marysię.

– Ależ chętnie – odpowiedział Janek i rzucił się z podziękowaniem do nóg starca.

– Chodźmy więc do chaty, pewnie jesteś głodny jak wilk.

I tak szli, droga choć długa, wydała się tylko chwilką. Janek przez cały czas opowiadał o sobie i swojej rodzinie.

Weszli do chaty, Marysia szybko i krzątała się po izbie. Raz dwa podgrzała świeżutki i pachnący kapuśniak z ziemniakami. Janek najadł się i napił do syta, poczuł się senny i jak siedział zapadł w twardy sen. Kiedy się obudził na dworze zapadł już zmrok. Dopiero teraz uważnie rozejrzał się po izbie. Mateusza nie było, a Marysia gotowała już kolację.

– A gdzie ojciec? – zapytał Janek.

– Poszedł do komory przynieść drewna, bo ogień już wygasa.

Janek natychmiast wybiegł staremu naprzeciw, wziął naręcze drzewa i przyniósł do izby. Za chwilę rozbłysnął ogień, w izbie zrobiło się ciepło i przytulnie. Zasiedli do wieczerzy. Janek opowiadał o postanowieniu ojca i choć tęskno mu było do starego domu, to gdy patrzył na Marysię, serce biło mu radośnie.

Następnego dnia Mateusz zapoznał go z twardą sztuką kowalską. Janek szybko nauczył się fachu i kuźnia znowu ożyła. Miał pełne ręce roboty. Mateusz zaś siadywał na progu i z zadowoleniem patrzył na chłopca, któremu robota paliła się w rękach. Dużo ludzi przychodziło do kuźni, jedni, żeby pogawędzić z Mateuszem, inni, żeby podkuć konia. W zamian za pracę Janek otrzymywał jedzenie, miał dach nad głową, nabierał też trochę pieniędzy, którymi go wynagradzano. Razem z Mateuszem zrobili nowy płot, naprawili dach, pomalowali chatę. Była taka bielutka, że z daleka wyglądała solidnie i zachęcająco na tle zieleni ogrodu.

I tak niewiadomo kiedy przeminęło siedem lat. Janek przypomniał sobie, że czeka na niego stary ojciec. Musiał wracać. Mateusz z Marysią też o tym pamiętali, choć było im ciężko rozstawać się z Jankiem. Nie było jednak rady. Słowa danego ojcu trzeba dotrzymać.

Pewnego dnia Janek tak powiada:

– Drogi Mateuszu, byłeś mi drugim ojcem, żyło mi się z wami dobrze, ale muszę już wracać. Polubiłem was i sercem zawsze będę przy was. Chciałbym cię jeszcze o coś poprosić – tu zaczerwienił się jak mały chłopiec i nieśmiało popatrzył na dziewczynę – chciałbym drogi ojciec dostać Marysię za żonę, wiem, że i ja nie jestem jej obojętny.

Mateusz aż zapłakał z radości i tak powiada:

– Kochany Janku, tym wyznaniem spełniłeś moje najskrytsze marzenie, bardzoś mi miły, boś szlachetny, pracowity i uczciwy i jeśli Maryś powie „tak”, – ja tylko pobłogosławię. Marysiu, czy chcesz zostać żoną Janka?

Na te słowa dziewczyna spłoneęła jak róża i cichutko powiedziała:

– Chcę tato, z całego serca!

– To dobrze, moje dzieci, bardzo dobrze. Pobierzcie się i żyjcie długo i szczęśliwie.

Nazajutrz Janek miał wyruszyć w drogę powrotną, żeby dotrzymać obietnicy i przedstawić swoją przyszłą żonę, prosząc ojca o błogosławieństwo.

Wszyscy wcześniej położyli się spać, a Marysia napiekła różnych sma-kołyków na drogę. Pierwszy obudził się Janek, pobiegł jak zwykle po wodę i drzewo, Marysia zaś przygotowała śniadanie, tylko Mateusz spał dzisiaj wyjątkowo długo, co zaniepokoiło młodych.

– Maryś zobacz no, co tata tak śpi, musimy przecież się z nim po-żegnać, droga przed nami daleka i ciężka.

Podeszła do łóżka i cichutko stanęła, zaczęła głaskać jego siwe włosy. Ojciec jakby uśmiechał się przez sen, lecz nie poruszał się, wydało się jej, że jest bardzo zimny.

Janek, wziął ojca za rękę – była zimna i sztywna, serce też nie biło. Oboje wybuchnęli szczerym płaczem. Ojciec skończył życie. Żył tak długo, aż znalazł następcę w kuźni.

– Patrz Maryś – ojciec się uśmiecha, on nie cierpi, umarł tak, jak żył szlachetnie i godnie, już tak widać Pan Bóg chciał.

Śmierć ojca pokrzyżowała plany podróży. Musieli się zająć pogrzebem i dopiero za dwa tygodnie mogli wyruszyć. Kuźnię zostawili pod opieką Wojtka – czeladnika, którego Janek przyjął do pomocy.



Rafał Mironiuk, kl. IV p

Średni z braci, wrażliwy i pobożny Kacper powędrował na wschód. Początkowo zatrzymał się w domu starego cieśli, któremu pomagał w pracy. Jednak cieśla wielki samotnik, nie bardzo pragnął go dłużej trzymać. Nie chciał robić chłopcu ani nadziei na przyszłość, ani nieprzyjemności, więc znalazł wymówkę, aby się go pozbyć.

– Mój drogi Kasprze – powiedział – jesteś bardzo młody i silny. Nie masz tu u mnie co robić, miejsce jest odludne, pieniędzy też dużo nie zarobisz. Jesteś bardzo szlachetnym chłopcem, idź więc dalej w świat szukać szczęścia. Życzę ci z całego serca wszystkiego dobrego, zasłużyłeś na lepszy los – powiedział stary cieśla.

Kacper zrozumiał intencje swego chlebowodawcy, grzecznie się pożegnał i poszedł.

Wędrował bardzo długo, spał w lesie. Szedł leśnymi drogami, gościńcami, aż w końcu dotarł do jakiegoś miasta, położonego na wyżynie. Kiedy był już bardzo utrudzony, zasnął twardo na schodach napotkanego domostwa. Gdy się obudził, a miało się ku wieczorowi, zobaczył obok siebie dwóch zakonników, ubranych w brązowe habity z kapturami, którzy z ciekawością przyglądali się chłopcu.

– Niech będzie pochwalony – powiedział Kacper.

– Na wieki wieków – odpowiedzieli chórem braciszczowie.

– Dokąd wędrujesz młodzieńcze? – zapytał starszy z nich.

– Szukam pracy i dachu nad głową – odpowiedział.

– To może pójdziesz do nas do klasztoru. Porozmawiamy, nakarmimy cię i postanowisz, co będzie dalej.

– Bóg wam zapłać, jestem bardzo zmęczony, chętnie skorzystam z waszej gościny.

Po drodze Kacper opowiedział im swoją historię. Zaznaczył, że do spotkania z ojcem i braćmi pozostało mu jeszcze trzy lata. Zakonnicy przedstawili mu również dzieje swojego zakonu.

– Nazywają nas kapucynami, jesteśmy odłamek franciszkańskim. Zanim nasz zakon powstał w Polsce, wielu Polaków wstępowało do klasztorów kapucyńskich w Szwajcarii, Niemczech, Czechach i innych. Dopiero Jan III Sobieski na dowód wdzięczności Bogu za zwycięstwo nad Turkami i Tatarami wyjednał u ówczesnego papieża pozwolenie na sprowadzenie kapucynów do Polski. Początkowo Stolica Apostolska nie chciała się zgodzić, ponieważ wiedziała, że polski klimat jest zbyt ostry dla utrzymania surowości reguł obowiązujących kapucynów. Dopiero w 1680 roku kapucyni pojawili się w Warszawie, Krakowie, potem w Lublinie i Lubartowie.

– Czy miejsce w którym się znajdujemy to Lublin? – zapytał Kacper.

– Tak, oczywiście, to jest Lublin – odpowiedzieli braciszkanie.

– Jak dobrze zrozumiałem, to co mówiliście, obowiązują was surowe zasady i reguły?

– Tak, reguła kapucyńska wymaga od nas bardzo wiele, jesteśmy zakonem żebrzącym. Musimy rzec się wszelkich przywilejów światowych, posiadamy wszystko wspólnie, nie mamy żadnych rzeczy prywatnych – powiedział starszy z braciszków.

– Poza tym – zaczął drugi – wstajemy zawsze o północy na jutrznię i rozmyślanie. Wychodzimy poza klasztor zawsze we dwóch i tylko w bardzo ważnych sprawach, jadamy raz dziennie.

Kacper słuchał bardzo uważnie i w końcu powiedział:

– Ja bym też tak chciał, nie lubię mieć własnych rzeczy, bo to tylko kłopot.

Nawet nie spostrzegli, gdy doszli do furty klasztoru. Na powitanie wyszedł o. Benjamin, który serdecznie powitał Kacpra. Rozmawiali bardzo długo, aż w końcu chłopiec zasnął. Kiedy się obudził, zobaczył znowu ojca Benjamin. Kacprowi tak tu się wszystko spodobało, że postanowił

wstąpić do zakonu kapucynów. Prosił tylko o. Benjamina, żeby mu tylko raz pozwolił spotkać się z ojcem.*

Bartłomiej, najmłodszy z braci wędrował w stronę Wisły ku północy. Szedł i szedł, nie wiedzieć ile. Po drodze odpoczywał, spotykał dobrych ludzi, którzy go karmili i poili, lecz nikt nie dał mu żadnej stałej pracy. Wydawało mu się, że już nigdy nie znajdzie roboty. Sam miał wątpliwości czy nie wrócić do domu, lecz nie mógł sprzeciwić się woli ojca. Był bardzo utrudzony daleką podróżą, lecz nagle widok, który zobaczył od razu postawił go na nogi.

– Boże mój! A cóż to za wielka woda, taka wielka, wielgachna, wcale nie widać jej końca – wykrzyknął Bartek.

Nad wodą spostrzegł gromadę ludzi, którzy przywiązywali wielkie bale drzewa i robili tratwy. Chłopiec ze zdziwienia otworzył usta, ciągle tylko patrzył i patrzył, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Coś za jeden i skąd się tu wzięłeś? – zapytał silny ogorzały mężczyzna. – Nazywają mnie Oryl – dodał.

– A mnie Bartłomiej, przywędrowałem z daleka, bo aż z Podlasia i szukam pracy.

– A to dobrze się składa, bo potrzeba nam zdrowych rąk do pracy – powiedział flisak.** Jak chcesz, to możesz zaraz zaczynać, Wojtek wszystko ci pokaże.

Chłopak był w wieku Bartka, więc szybko się ze sobą dogadali. Obu łączyła wspólna bieda i tułaczy los. Bartek szybko nauczył się flisackiej roboty, a stary Oryl z niedowierzaniem i podziwem kiwał głową, tak mu ten Bartek się podobał, że traktował go jak własnego syna.

– Dobrze się starasz Bartku – powiedział stary. – Muszę przyznać, że zuch z ciebie nad zuchy. Za to, że jesteś taki pracowity i rzetelny dam ci zarobić więcej niż innym.

– Z serca dziękuję – odpowiedział Bartek i jeszcze goręcej zabrał się do pracy.

I tak niewiadomo kiedy upłynęło sześć lat. Czuł się tu szczęśliwy, było mu dobrze, zarobił sporo grosza. I na pewno zostałby tu na zawsze, gdyby nie przysięga złożona ojcu.

Zbliżał się termin powrotu do domu.

– Orylu, pamiętasz co mi przyrzekłeś? – zapytał.

– Tak, pamiętam chłopcze, bardzo mi będzie ciebie brakowało, ale jak mus, to mus.

– Wiedz o tym, że zawsze możesz tu wrócić, będę czekał na ciebie z niecierpliwością. Jeśli zdecydujesz się na powrót, to zrób to jak najszybciej, żebym za długo ciebie nie wypatrywał. Do widzenia! Obaj padli sobie w objęcia i się serdecznie rozplakali. Bartek poszedł, a stary Oryl był święcie przekonany, że powróci.

Minęło siedem długich lat wyczekiwania. Ojciec cierpliwie czekał na powrót synów. Dzień w dzień wysiadywał na progu swojej chaty i z wytęsknieniem spoglądał na drogę. Przez te lata bardzo podupadł na zdrowiu, zgarbił się i postarzał, lecz nigdy nie tracił nadziei, bo nadzieja przychodzi do człowieka razem z drugim człowiekiem.

Pewnego ciepłego lipcowego dnia zobaczył na drodze tuman kurzu, a z jego kłębow wyłoniła się furmanka zaprzęzona w dorodne konie. Na ten widok serce ojca łomotało jak oszalałe. Ciężko podniósł się z progu domu i nie zważając na ból w nogach, zaczął biec ku przyjezdnym. Konie powoli zwolniły, a z fury zeskoczyli dwaj synowie Janek i Bartłomiej, którzy spotkali się po drodze. Padli sobie w objęcia i ucałowali poorane żyłami ręce ojca.

Nagle starzec spostrzegł, że zbliża się ku nim jakaś nieznajoma. Janek szybko do niej podskoczył i przyprowadził do ojca.

– Pozwól ojcie, że przedstawię ci moją przyszłą żonę Marysię, pobłogosław nas i życz nam szczęścia.

Wzruszony ojciec zrobił znak krzyża i serdecznie ich przytulił. Wkrótce wszyscy weszli do chaty. Marysia szybko zakrzętnęła się przy przyrządzaniu wieczerzy. Ojciec uważnie wysłuchał ich opowieści, którym nie było końca. Bardzo cieszył się z powrotu synów, był z nich dumny. Chłopcy zauważyli jednak, że momentami wydawał się być gdzieś daleko. Ciągłe spoglądał w okno i tęsknie patrzył na drogę. Nie było przecież z nimi Kacpra, choć mieli być wszyscy trzej. Nagle ojciec wstał, wyszedł przed chatę i wpatrywał się w pustą drogę.

– Popatrz tato, tam daleko ktoś do nas idzie – powiedział Janek.

– Wydaje ci się synku, ja nikogo nie widzę – odpowiedział.

Kiedy jednak zmrużył oczy i jemu wydawało się, że ktoś zbliża się w ich kierunku.

– Przecież to jakiś braciszek w habicie i kapturze – powiedział Bartek.

– Toć, to nasz Kacper, to on, tak mi mówi moje serce, wiedziałem, że mnie nie zawiedzie. To na pewno on!

Nie mylił się ojciec, to rzeczywiście był Kacper, jego średni syn, który przybrał habit kapucyna.

Siedzieli i rozmawiali całą długą noc. Nikt nie spostrzegł, jak staruszek z nadmiaru wrażeń i emocji zasnął. Rozmówcy ściszyli głosy, a Janek z Kacprem powolutku i cichutko przenieśli ojca na łóżko. Starzec spał smacznie i z tej starości podobny był do ufego bezbronnego dziecka.

– Moi mili – zaczął Janek – musimy coś postanowić. Ojciec nie może już nigdy zostać sam, dlatego ja i moja żona zostaniemy przy ojcu.

– Chcę usłyszeć, jakie wy macie plany na przyszłość – zwrócił się do braci Janek.

– Ja muszę i bardzo chciałbym wrócić do zakonu, przecież ślubowałem Bogu – nieśmiało powiedział Kacper.

– A ja chciałbym wrócić do moich przyjaciół flisaków – odezwał się Bartek.

– No dobrze, rano powiemy ojcu o naszych postanowieniach – powiedział Janek.

– Tylko, czy ojciec się zgodzi? – tak pomyśleli wszyscy, choć żaden się nie odezwał.

– Przrzeknijmy sobie tylko jedno, że w każde święta Wielkiej Nocy będziemy się wszyscy spotykali w chacie ojca.

– Przrzekam – zapewnił Bartek.

– Jak Bóg pomoże, no i jak dostanę zgodę od o. Benjamina – powiedział Kacper.

– Jak nie będziesz mógł, to dasz od siebie jakiś znak, a my to zrozumiemy – powiedział Janek.

Rano Janek opowiedział ojcu o ich postanowieniach. Ojciec zgodził się i o nic nie pytał. Zbliżała się Wielkanoc. Przez ten czas przyszedł na świat śliczny i zdrowy chłopiec – syn Janka i Marysi. Ojciec bardzo cieszył się z urodzin wnuka. Wystrugał mu z drzewa śliczną kołyskę i cały czas z nim przebywał. Na święta przyjechał Bartek ze swoją żoną, a Kacper wysłał białego gołębia na znak, że dotrzymał danego słowa.

I tak w zgodzie i wzajemnym poszanowaniu żyli długo i szczęśliwie.

* Zygmunt Głogier: *Encyklopedia staropolska ilustrowana*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1974 r., t. III.

** Flisak – żeglarz rzeczny, spławiający głównie drzewo i zboże do portów morskich.

ZMYŚLNY BARTEK



YŁ sobie ubogi chłop Bartek, który pasał bydło we dworze. Bieda w domu aż piszcziała, bo miał też kogo żywić. Rodzina była liczna, składała się z siedmiorga dzieci i żony. Ze współczuciem i litością patrzył Bartek, jak jego najbliżsi jedzą kartofle bez omasty* i popijają serwatką. Bywało i tak, że cały dzień trzeba było przeżyć bez jedzenia. Z tego powodu chłop często łamał sobie głowę, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjścia. Pragnął, żeby choć raz na święta sprawić swoim dzieciom prawdziwą ucztę, aby przynajmniej wtedy spróbowały prawdziwego mięsa.

Pewnego razu – a było to tuż przed Wielkanocą – wygonił chłop pańskie bydło na pastwisko. Z przyjemnością spoglądał na dorodne stado: piękne byki, krowy i cielęta. Policzył je, było dwadzieścia i jedno. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dlaczego pan ma dwadzieścia i jedno bydło, a on – Bartek nie ma żadnego? W czym gorszy jest od pana?

– A niech tam – myślał chłop – niech pan ma okragłutko dwadzieścia, mnie wystarczy jedno.

Pokusa była silna, silniejsza niż sam Bartek. Nocą zakradł się do pańskiej obory, wyciągnął cielę i zarznął je. Zdartą skórę żona sprzedała Żydowi za marny grosik i za dochowanie tajemnicy. W święta rodzina zasiadła do zastawionego stołu, a Bartek wesoło zawołał:

– Jedzcie dzieci język, to będziecie pić wodę po języku!

Wszyscy z apetytem jedli śniadanie, pierwszy raz w życiu najedli się do syta. Po dobrym jedzeniu cała rodzina poweselała. Dzieci pobiegły do studni i piły ile dusza zapagnie.

Pan nie mógł przeboleć utraty cielęcia, szukał go wszędzie. Straszyl Bartka, że pozbawi go pracy i rodzinę wyrzuci z czworaków. Chłop jednak zaciął się, przysięgał i zaklinał na wszystkie świętości, że zwierzęta doprowadził do obory i policzył tak, iż zgadzało się co do sztuki.

Pan jednak mu nie uwierzył i postanowił na własną rękę szukać zguby. Nie dał za wygraną nawet w czasie świąt. Potajemnie kręcił się w pobliżu izby Bartka. Zajrzał do ubożuchnej obórki, podarł ubranie przy ogrodzeniu, podrapał ręce, ale cielaka nie znalazł. Nocami przewracał się z boku na bok i długo nie mógł zasnąć.

A gdy już spał, śniły mu się cielęta o wielkich oczach i ich pusty uśmiech.

Pewnego dnia koło studni spotkał dzieci Bartka. Były zadowolone i łąpczywie piły zimną wodę. Teraz był już pewien, że piją wodę, ponieważ zjadły mięso z jego cielaka. Podszedł więc bliżej i zapytał:

– Po czym tak pijecie wodę?

– Po języku, jasnie panie – odpowiedziały dzieci.

Zdumiony pan więcej się nie odezwał, tylko popatrzył wokoło, czy ktoś nie słyszał zuchwałej odpowiedzi dzieci, okręcił się na pięcie i poszedł jak niepyszny.

Tak oto zmyślny Bartek zapędził w kozi róg bogatego i chytrego pana.

Witowt.

Wiśła t. 19 z 1905 r., s. 30

* Omasta – okrasa, polanie tłuszczem potrawy.

KRÓL WĘŻY I ZAMAWIACZ



W dawnych czasach ziemię podlaską pokrywały wielkie i nieprzebyte bory. Pełno w nich było grzybów, jagód, malin i jeżyn. Nie brakowało także wszelkiego zwierza: saren, dzików, wilków i zajęcy.

Jednak plagą grabowieckich lasów była mnogość różnego „paskudztwa” – węży, które kasały podstępnie ludzi i bydło. Wędrowały ich całe gromady o najrozmaitszych kolorach i gatunkach. Zdawało się, że cała ściółka faluje i drga. Jedne były czarne w jasne cętki, inne żółto-brunatne, jeszcze inne – trudno określić jakie. Słychać było jednostajny syk i jakieś niesamowite szmery.

Z powodu takiej plagi biedni ludzie nie mogli bezpiecznie korzystać z dobrodziejstw lasów. Od lat więc nie zbierano w nich grzybów ani jagód. Nie pasano także bydła. Cóż było robić? Radzono się wiejskich bab, które leczyły ludzi, lecz one na aż tyle węży nie miały lekarstwa.

Pewnego razu najstarszy i bardzo mądry we wsi chłop wpadł na pomysł, aby poradzić się starego i zdziwaczalego Mateusza, który już z niejednego pieca chleb jadł. Jak postanowił, tak i zrobił. Zebrał gromadę wieśniaków i zapukał do chaty starego.

– Jak myślicie Mateuszu? Czy możemy się uwolnić od tego paskudztwa?

Mateusz, pocierając brodę, długo myślał i w końcu rzekł:

– Na mój rozum trzeba znaleźć zamawiacza węży, takiego, który rozumie ich mowę.

Łatwo powiedzieć, ale skąd tu wziąć zamawiacza. Wszyscy się tu znali i wiedzieli, że tego nie potrafi żaden z grabowieckich chłopów.

Czekali więc cierpliwie, może się ktoś taki zjawi – no bo czy to raz zdarzają się cuda i cudenka?

Któregoś dnia – a było to w czasie żniw – patrzą, a tu do wsi idzie jakiś człowiek. Już z daleka wyglądał na odważnego i chwałackiego młodzieńca. Kiedy się przybliżył, zapytano go jak się nazywa, skąd i dokąd idzie.

Nieznajomy odpowiedział:

– Wołają na mnie Grabek. Znudziła mi się służba u pana, bo mi mało płacił i źle traktował. Idę więc szukać nowej pracy.

– A co umiesz robić? – zapytał Mateusz.

– Wszystko – odpowiedział młodzieniec.

– Jak to wszystko? – dalej pytał chłop.

– A tak, wszystko – z przekorą w głosie odparł chłopak.

– No, to może umiesz zamawiać węże, co?

Gromada w skupieniu czekała teraz na odpowiedź. Zrobiła się grobowa cisza, bo przecież wszystkim zależało na potwierdzeniu pytania.

– A umiem, znam mowę tych gadów i potrafię się z nimi obchodzić tak, że stają się bardzo posłuszne.

– To może nas od nich uwolnisz i uratujesz – wołali wszyscy, jeden przez drugiego.

– Czemu nie – odparł młodzieniec. W tłum wstąpiła otucha i wielka radość.

– Tylko jedno mi powiedzcie, ale samiutką prawdę – przekrzykiwał gromadę chłopak – czy w tym lesie jest taki wąż co świszcz? Bo jeśli jest, to ja nie będę zamawiał.

Ludzie powiadają, że nie ma, bo co prawda, to prawda, nikomu nie dało się słyszeć, ażeby wąż świstał.

– No to wam węże zamówię – zgodził się.



Sylwia Kowalczyk, kl. V b

Zaczęły się przygotowania do rozprawy z gadami. Wykonywano wszelkie polecenia Grabka. W pierwszym rzędzie rozkazał wykopać dół pod lasem i w tym dole zagrzebać słup wysoki, okrągły, gładziutko wyheblowany i wysmarowany mazidłem, żeby był śliski. A na tym słupie kazał zrobić sobie siedzenie.

Kiedy już wszystko było przygotowane, Grabek zwinnie wdrapał się na słup, usiadł wygodnie i świsnął. Na dźwięk tego głosu węże zaczęły wysuwać się z legowisk, pełznąć do dołu i wpadać na samo dno. Ludzie stojący obok szybko zasypywali je ziemią i kamieniami.

Grabek świsnął drugi raz. Teraz jeszcze więcej ich przypęzło i znowu zasypiano je ziemią. Wtedy chłopak rozejrzał się i zobaczył, że jeszcze nie wszystkie zostały zwabione i schwytane.

Zaświstał więc trzeci raz. Aż strach powiedzieć, co tu się stało, przywlokła się ich cała moc taka, że zdziwieni ludzie cofnęli się z przerażeniem. Szybko jednak podbiegli do dołu i zaczęli kolejne bestie zagrzebywać.

Nagle tę niezwykłą chwilę przerwał świst niespotykany. Poznał ten dźwięk zamawiacz – był to głos króla węży. A z nim nie pójdzie mu tak łatwo.

– No – powiada Grabek – teraz może być źle.

W tej chwili do dołu zbliżył się król węży zwabiony świstem Grabka. Pewnie poczuł zbliżającą się śmierć, lecz chciał dokonać zemsty. Podniósł do góry swój łeb ogromny i patrzył prosto w twarz człowieka siedzącego na słupie. Wszyscy dokoła zamarli w oczekiwaniu. Król węży tak mocno zasyczał, że słup zatrzęsł się, junak stracił równowagę i wpadł do dołu przygotowanego na te przebrzydłe gady. On zaś wpełznął za nim. Ludzie nie wiedzieli teraz co mają czynić, ale Grabek dał znak ręką i zawołał:

– Żegnajcie, przyjaciele!

Wtedy zawalono ziemią wszystkie węże, a z nimi Grabka – zama-
wacza.

Starzy ludzie, którzy to wszystko widzieli na własne oczy, opowiadali
wnukom, że długo jeszcze w tym miejscu ziemia się trzęsła. A z głębi
zasypanego dołu dochodziły do ludzkich uszu gadzie narzekania.

Odtąd jednak nikt i nigdy nie spotkał w lesie paskudnego węża.

A o odważnym czynie Grabka do dziś jeszcze bajają w zimowe
wieczory grabowieccy chłopci.

Opowiadał Ludwik Hawryluk

– zapisał Witowt.

„Wista”, tom 19 z 1905 r. s. 296, 297.

ORGANY – SAMOGRAJE



AWNO, dawno temu, w lesie koło Dubicza stał stary kościółek. Cały był z drzewa modrzewiowego, na solidnej kamiennej podmurówce. Kościółek często odwiedzali okoliczni chłopci, a bywało, iż nie omijali go i bogaci kupcy zdążający na jarmarki w pobliskim grodzie.

W każdą niedzielę i dni świąteczne rojnie przybywali tu parafianie wysłuchać mszy świętej i organów, które pięknie grały bez organisty. Wieść o tym rozeszła się po szerokim świecie. Garnęli się więc do owej świątyni ludziska ze wszystkich stron.

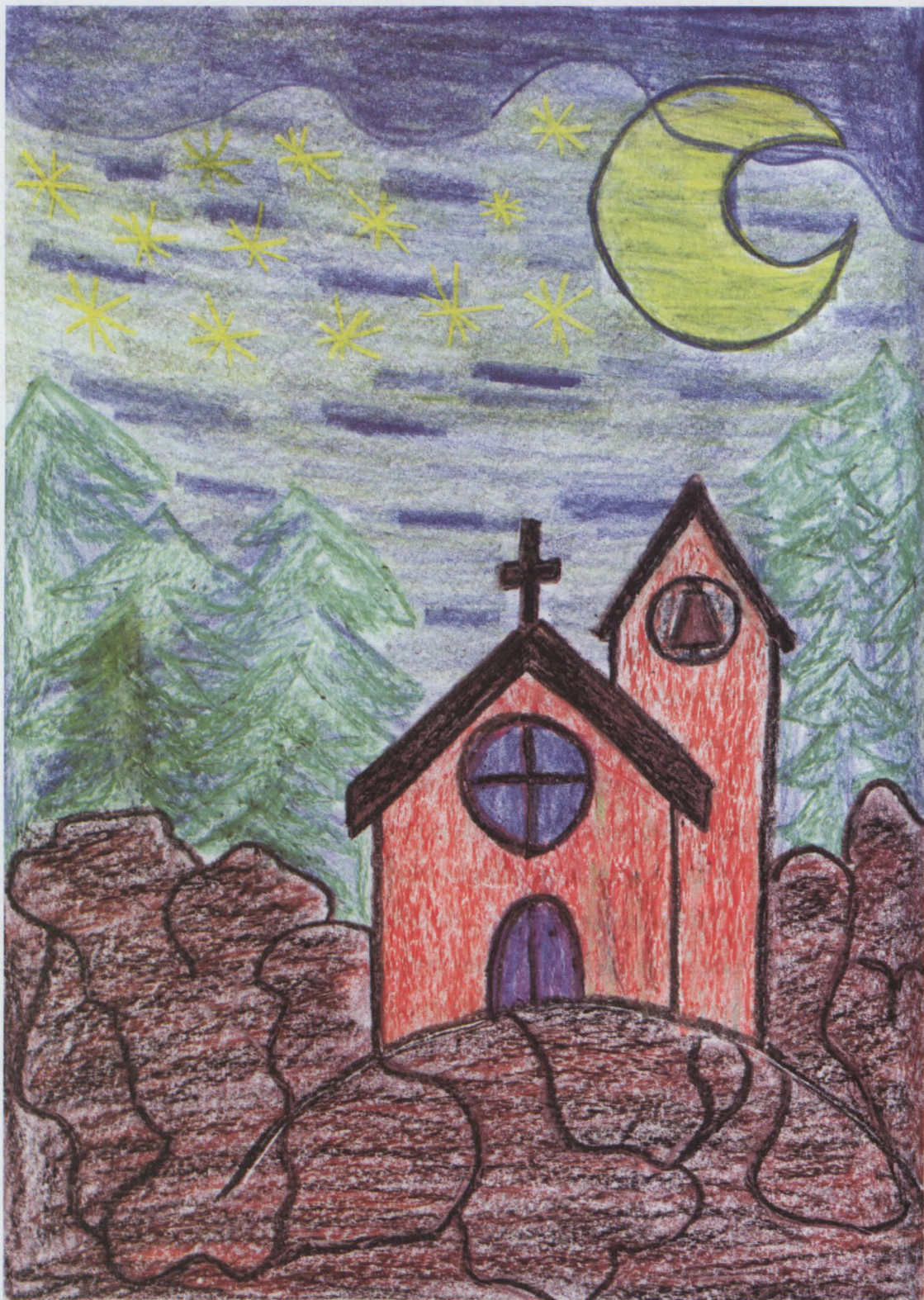
Pewnego razu o zaczarowanych organach dowiedział się sam wojewoda grodzki i postanowił je kupić bez względu na cenę. Przyjechał do kościoła w szczerozłotej karecie, zaprzężonej w szóstkę białych koni, wysiadł i mówi do zgromadzonych parafian:

– Dobrzy ludzie, dam wam kilka worków złotych dukatów za czardziejskie organy, dołożę jeszcze płótna i perkalu.

Na placu przed kościołem zaległa cisza. Nikt nie śmiał odpowiadać takiemu panu. Tylko kobiety cicho narzekały na zachłanność wojewody. On zaś chwilę odczekał, pomyślał i nie zrezygnował ze swego zamiaru.

Po nabożeństwie wybrał się ze służbą do pobliskiej karczmy. Zamówił wiele jadła i gorzałki, hojnie nią chłopów częstował. Kiedy już wszystkim dobrze z głów się kurzyło, zaczął namawiać do sprzedaży organów. Nikt jednak nie kwapił się do rozmowy, wszyscy udawali, że nie słyszą obietnic wojewody.

Ale jak to już w życiu bywa, znalazło się w gospodzie trzech przygodnych rabusiów, którzy za sową nagrodę postanowili ukraść



Ewelina Małachwieczyk, kl. VI d

organy-samograje. Następnego wieczoru dotarli potajemnie do pustego kościoła, po krętych schodkach dostali się na chór i już mieli instrument w rękach, gdy nagle usłyszeli słodką melodię organową i poczuli, że kościół drży w posadach, a potem powoli zapada się pod ziemię.

Tak więc złoczyńcy zostali sprawiedliwie ukarani, a pan musiał powracać z niczym do swojego grodu.

Na miejscu kościoła pozostało jedynie wielkie zapadlisko, w którym zagnieżdżyły się żaby. Na wiosnę chętnie wygrzewają się w nim węże, jaszczurki i inne gady.

Jeżeli ktoś późną porą, najlepiej o dwunastej w nocy, wejdzie w zapadlisko, klęknie i przyłoży ucho do ziemi, to usłyszy piękne granie organów-samograjów.

I ja tam pewnego razu byłem i na własne uszy usłyszałem, a potem wam opowiedziałem.

*Opowiadał Mieczysław Pulik
z Międzyrzeca Podlaskiego*

– 1992 r.

DZIEWCZYNA O ZŁOTYCH KĘDZIORACH



ZIAŁO się to bardzo dawno temu, jeszcze za czasów, gdy na świecie panowali królowie.

W niewielkim królestwie żył sobie stary król, który miał trzech synów. Dwóch było mądrych, a trzeci, najmłodszy – głupi. Według prawa i obyczaju jednemu z synów należały się korona i dziedzictwo po ojcu. Martwił się z tego powodu stary władca, gdyż nie wiedział, jak jego synowie podzielią bogactwa i czy będą żyli w braterskiej zgodzie. Łzami się zalewał, gdy myślał o najmłodszym synu, którego wszyscy w państwie wytykali palcami, nazywając głupim. Drwili z niego dworzanie, wyśmiewali się też w skrytości ducha poddani.

Pewnego razu wezwał do siebie dwóch starszych synów, aby postanowić, co robić dalej. Radzili bardzo długo, lecz żadnemu z nich nie mądrego do głowy nie przychodziło.

W końcu stary król przypomniał sobie, że jego najmłodszy syn chciał pojąć za żonę dziewczynę o złotych kędziorach, a takiej nie było w całym jego królestwie. Zdecydował więc wysłać syna w świat, by znalazł sobie upragnioną żonę. Pewnie jej nie znajdzie, ale w szerokim świecie nauczy się pracy i zaradności, a jeśli nie, to zginie.

Wędruje, wędruje najmłodszy syn, przewędrował spory szmat drogi, aż dotarł do starego lasu. Usiadł strudzony na jego skraju i zasnął. Błogi sen przerwało mu czyjeś tęgie chrapanie. Przetarł oczy i patrzy, a tu przed nim stoi wielki niedźwiedź i wyciąga do niego swoją kosmatą łapę.

– Dzień dobry młody człowieku – przemówił ludzkim głosem.

– Dzień dobry – odpowiedział królewski syn.

– Gdzie tak wędrujesz? – pyta niedźwiedź. – Widzę żeś okropnie strudzony, a i upał dziś doskwiera.

– Idę szukać żony, dziewczyny o złotych kędziorach.

– A to się dobrze składa, ja też wędruję sobie po świecie, jak chcesz mogę ci towarzyszyć – odpowiedział niedźwiedź.

– Dobrze – odparł królewicz – Razem będzie nam raźniej.

I poszli. Po długiej wędrówce dotarli do pierwszego królestwa. Dowiedzieli się, że w pałacu żyją cudowne ptaki, które potrafią mówić.

– Weź te ptaki – radzi niedźwiedź – możemy dostać za nie dużo jadła. Możemy też zapytać o dziewczynę, której poszukujesz.

Lecz król dowiedział się o zamiarze królewicza i niedźwiedzia, mówi więc z prośbą w głosie:

– W drugim królestwie jest piękny koń, tak piękny, że nie ma wspanialszego na świecie. Jak zdobędziesz tego konia, to ja dam ci swoje ptaki.

– Zgoda – odrzekł królewicz.

Szybko dotarli do drugiego królestwa i dostali się do pałacu. Król, widząc gości z dalekich stron, wyszedł im naprzeciw. Pozdrowił i zapytał o cel przybycia.

– Żyje w tym królestwie niezwykły koń – mówi najmłodszy królewicz – chcemy go zdobyć.

Wtedy władca powiedział:

– W trzecim królestwie mieszka piękna dziewczyna, jeśli mi ją przywieziecie, oddam swojego konia.

Po długiej podróży znaleźli się we wskazanym królestwie.

W olbrzymim ogrodzie zobaczyli urodziwe dziewczyny. Niedźwiedź skoczył natychmiast i schwytał najpiękniejszą. Prędko przyjechali do króla, który posiadał niezwykłego konia. Królewiczowi żal było pięknej



Hubert Zubik, kl. V d

dziewczyny o złotych kędziorach, nie chciał jej oddać, pragnął również mieć wspaniałego konia. Niedźwiedź widział rozterkę chłopca i piękne oczy dziewczyny. Zrozumiał, jak bardzo sobie przypadli do gustu. Postanowił więc pomóc obojgu i zmienił się w dziewczynę, jeszcze ładniejszą niż tą, którą porwali. Wtedy królewicz dał królowi piękną pannę, wziął konia i odjechał. Kiedy panna odmieniła się w niedźwiedzia, król przestraszył się i uciekł.

Gdy przybyli do królestwa, w którym były mówiące ptaki, niedźwiedź przybrał postać konia, a królewicz zabrał ptaki i odjechał. Po pewnym czasie dołączył do niego niedźwiedź, zadowolony, że wszystko odbyło się pomyślnie.

W dalszej drodze wydarzyło się nieszczęście. Bracia, niby to głupiego królewicza, dowiedzieli się, że jest zdrów i cały, mało tego – podąża do domu z piękną dziewczyną. Postanowili zabrać mu wybrankę, a jego zabić. Przygotowali zasadzkę i uśmiercili najmłodszego brata.

Usiadł niedźwiedź nad ciałem nieboszczyka i płacze. Zleciała się chmara kruków i wron. W pewnej chwili niedźwiedź chwycił małe wroniątko, które zaczęło się drzeć wniebogłosy.

– Oddaj nam nasze dziecko – prosiła wrona.

– Oddam, jeśli mi przyniesiecie ziele życia, muszę nim wskrzesić mojego przyjaciela – mruknął zniecierpliwiony.

Gromada wron poleciała szukać cudownego ziela, a niedźwiedź wypuścił na wolność małe wroniątko. Ptaki wkrótce powróciły na polanę z ożywczym ziele. Teraz niedźwiedź szybko przygotował wywar z ziela, natarł nim ciało najmłodszego królewicza i ożywił go.

Poszli tedy do braci, którzy w tym czasie rządili królestwem. Gdy dziewczyna zobaczyła chłopca i niedźwiedzia, zawołała:

– O ten jest moim wybranym, za niego wyjdę za mąż. Wtedy to niby niemądry królewicz odebrał braciom ptaki, konia i ukochaną dziewczynę o złotych kędziorach. Potem w pałacu królewskim odbyło się huczne wesele, na którym i ja byłem, miód i wino piłem.

Witowt.

„Wiśła” tom 17 z 1903 r. s. 557-558.

PRAWDA I KRZYWDA



ARDZO dawno temu we wsi Turów żyły sobie Prawda i Krzywda. Żyły w wielkiej zgodzie, tak jak moja żona z waszą żoną, moja sąsiadka z waszą sąsiadką. Były przyjaciółkami dopóty, dopóki Krzywdy na posadę do urzędu nie wzięli, bo bez niej nie można było sądzić. Wtedy Prawda zaczęła schodzić na psy. Źle się działo na ziemi, więc postanowiła pójść do nieba. Wspięła się po dużej drabinie i po chwili znalazła w zaświatach. Ale i tu długo miejsca nie zagrzała, bo cóż miała do roboty w raju, wynędniała tylko i wychudła. Kłamstwa i fałszu przecież tutaj nie mogła znaleźć. Niczym się nie mogła wyróżnić. Pomyślała więc, że musi wrócić na ziemię. Jak pomyślała, tak i zrobiła. Potem wzięła kij i torbę i poszła w daleki świat szukać dla siebie zajęcia.

Długo wędrowała po świecie, widziała wiele obłudy i krzywd, lecz nic nie mogła na zło poradzić. Pewnego razu idzie sobie Prawda i własnym oczom nie wierzy, powozem jedzie Krzywda. Gdy zobaczyła Prawdę, mówi:

– Dzień dobry, Prawdo.

– Dzień dobry, Krzywdo – odpowiada Prawda.

– O moja Prawdo, siadaj do powozu, to cię kawałek podwiozę. Opo-
wiadaj co u ciebie słychać, widzę, że nietęgo wyglądasz.

– Oj, nielekko mi moja Krzywdo, nikt nie chce dać pracy i zarobku. Wszyscy mnie palcami wytykają i wyśmiewają, a przecież tyle jest dla mnie roboty na tym świecie.

Zajechały do pobliskiego miasteczka i dalej jeszcze. Patrzy Prawda, a tu stoją trzy szubienice. Wtedy Krzywda mówi do Prawdy:

– Jak chcesz, to ja twój zły los odmienię, osłodzę ci życie, tylko pozwól sobie wyjąć oczy. Nie będziesz niczego widziała, to ci będzie dobrze.

Wzięła Krzywda nóż z torby, wyjęła oczy Prawdzie i rzuciła je pod powóz. Kazała jej wysiąść z powozu i klęknąć pod szubienicą.

– Teraz na pewno dostaniesz od dobrych ludzi jałmużnę – powiedziała Krzywda.

– Będą obok ciebie przejeżdżać i zobaczą, że Prawda jest ślepa, więc można robić co się tylko chce i rzewnie podoba.

Podczas całego okresu rządów Krzywdy działy się rzeczy straszne. Złodzieje kradli, zbóje napadali na bezbronnych, ludzie o byle głupstwo się kłócili i sądzili, ale nikt nie mógł dojść prawdy, bo Prawda była ślepa. Siedzi Prawda pod szubienicą jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć lat, przesiedziała chyba siedem, a wydało się jej, że dopiero co przyszła i nie widzi, co się wokół niej dzieje.

Aż tu pewnej nocy słyszy szelest, w górze odgłosy piorunów i szum wichru. Słyszy również jakieś ludzkie głosy. To rozmawiali wisielcy, którzy wisieli na szubienicach. Prawda nastawiła czujne ucho i słyszy, jak jeden z nich mówi:

– W tym kamieniu, w środku, jest czarodziejska trawa, a kto tą trawą oczy przetrze, to natychmiast wyzdrowieje.

Drugi mówi:

– W tym królestwie jest królewicz chory na suchoty, leczą go różne znachory i doktory, ale nie mogą mu pomóc, nie widzą, że źródłem choroby jest stara żaba, która żyje pod podłogą w pokoju królewicza. Kto zabije żabę, ten uzdrowi królewicza.

Trzeci mówi:

– W tym królestwie nie ma dobrej wody, bo źródło jest przygnięcione kamieniem, kto ten kamień podniesie, wytrysnie woda.



Konrad Chwedoruk, kl. VI b

Prawda wszystkiego uważnie wysłuchała i lezie po ziemi, żeby odnaleźć kamień z leczniczą trawą. Znalazła pęknięty głaz, a w nim trawę. Narwała jej i natarła sobie oczy, i w ten sposób odzyskała wzrok. Bardzo się ucieszyła, że znowu wszystko widzi. Idzie więc do królestwa, w którym był królewicz złożony chorobą, każe sługom zerwać podłogę i zabić starą żabę. I o dziwo, królewicz z każdym dniem staje się zdrowszy. Prawda jest zadowolona z siebie, bo wszystko jej się udaje. Idzie więc do miasta, żeby podnieść wielki kamień. Stało się, jak myślała. Spod kamienia wytrysła źródłana woda. Ludzie spoglądają z zachwytem i uznaniem na Prawdę i aż im wstyd, że nie chcieli jej na posadzie w urzędzie. Każdy pytał:

– Kto to wszystko zrobił?

– Ano, Prawda.

– Czyja Prawda?

– Moja Prawda.

Po tych zdarzeniach wszyscy mieszkańcy zawzięli się na Krzywdę, wyrzucili ją z urzędu i Prawda wyszła na wierzch, stała się Panią.

Pewnego razu jedzie sobie Prawda powozem, a tu patrzy – idzie Krzywda, chuda, wynędzniała, że ledwie powłóczy nogami.

– Dzień dobry, Krzywdo – woła Prawda.

– Dzień dobry, Prawdo – odpowiada Krzywda.

– A, moja Krzywdo, siadaj ze mną do powozu, to cię kawałek podwiozę.

I tak jak niegdyś Krzywda rzecze Prawda:

– Opowiadaj co u ciebie słyhać, widzę że nietego wyglądasz.

– Oj, nielekkó mi moja Prawdo – i dalej jej opowiadać o kłopotach.

Prawda wszystkiego słuchała, pokiwała głową i mówi:

– Dam ci jedną radę, taką samą jak ty mi dałaś. Pozwól sobie wyjąć oczy i usiądź pod szubienicą. Pewnie dostaniesz od ludzi jałmużnę, każdy coś ci wrzuci do torby.

Siedzi Krzywda pod szubienicą, siedzi siedem lat, a zdaje się, że dopiero co przyszła. Torba jej świeci pustkami jak łupina orzecha. Aż tu którejś nocy słyszy szelest, odgłosy piorunów w górze i wielki szum wichru, słyszy także ludzkie głosy. To znów rozmawiają wisielcy. Jeden mówi:

– Kto ten kamień odwalił i dał ludziom wodę?

Drugi pyta:

– Kto królewicza do zdrowia przywrócił?

Trzeci pyta:

– A Prawdzie kto oczy wstawił?

Teraz wszyscy mówią:

– Ktoś pewnie nas podśluchuje, ale kto?

Jeden z nich spojrzał w dół pod szubienicę, a tu siedzi Krzywda i podśluchuje.

– To pewnie ona – stwierdzili i długo się nie patyczkowali. Ukręcili łeb Krzywdzie.

I tak właśnie Krzywdę diabli wzięli.

Od tej pory ludzie powiadają:

– Gdzie moja krzywda?

– Krzywdę diabli wzięli.

– Nie ma Krzywdy, moja prawda.

*Opowiedział Franciszek Komoń z Turowa,
notował Witowt. „Wista” 17 z 1903 r. s. 547, 548.*

GDZIEŻEŚ SIĘ PODZIAŁ CZARNY BARANIE?



NGIŚ, bardzo dawno temu, nad rzeką Krzną stał wspaniały zamek. Z niewiadomych przyczyn zapadł się pod ziemię tak głęboko, że nic nie zostało po nim, ani jedna cegielka, ani nawet najmniejszy ślad. Ludzie pamiętali to miejsce z opowieści rodziców, rodzice z opowieści dziadków, dziadkowie z opowieści pradziadków... Pamiętali tak długo, że nazwali to miejsce Zamczyskiem. Ulica przechodziła obok rzeki i w pewnym miejscu musiała ją przeciąć. Położono wtedy niewielką kładkę, którą z czasem trzeba było zamienić na drewniany mosteczek.

Jak głosi legenda – o północy, po drewnianych barierkach mostu spacerował czarny baran. Widziało go wielu ludzi, którzy mogli przysiąc, że była to najczystsza prawda. Niejeden śmiałek próbował złapać czarnego barana i gdy już miał go w rękach, czarny baran znikał, zapadał się w ciemności. Baran nic złego ludziom nie czynił, pokazywał się zawsze w tym samym miejscu, o tej samej porze i znów ginął w mroku. W końcu ludzie orzekli, że musi to być siła nieczysta, która przybiera taką postać. Nikt jednak nie wiedział, jak to sprawdzić.

Pewnego dnia, po służbie wojskowej wracał do wsi młody chłopak. Był to człek wesoły i odważny, choć biedny jak mysz kościelna. Nie miał przy sobie nic prócz kawałka chleba, dzbanka czystej wody i postrzępionego odzienia.

Idzie sobie – aż tu patrzy – siedzi starzec, maleńki, skurczony, z długą brodą, ubranie na nim poszarpane, jakby z wiatrem polkę tańczył.

Staruszek prosi:

– Chłopcze, przyodziej mnie, nie mogę się poruszyć, bo ubranie całkiem ze mnie leci.

Młodzieniec niewiele się zastanawiał, zdjął z siebie połataną marynarkę, wyjął z torby stare drewniaki i podarował starcowi.

– Weź proszę, choć sam niewiele posiadam, podzielę się z tobą i dam ci to, co mam.

– Dziękuję ci, idź z Bogiem – odpowiedział starzec. Wędruje chłopak ochoczo, choć srogi upał mu doskwiera. Nagle spostrzegł drugiego staruszką, młodszego od poprzedniego, lecz bardzo słabego.

– Daj mi pić chłopcze – prosi starzec – od trzech dni nie miałem kropli wody w ustach.

Wyjął młody chwyt swój dzban i napoił starca.

– Dzięki ci za twoje dobre serce, wędruj dalej, a na pewno spotka cię szczęście.

Uradowany junak ruszył z ochotą dalej. Przeszedł kilka, a może kilkanaście kilometrów. Strudzony wielce zapragnął usiąść i odpocząć.

Nagle usłyszał chrapliwy głos:

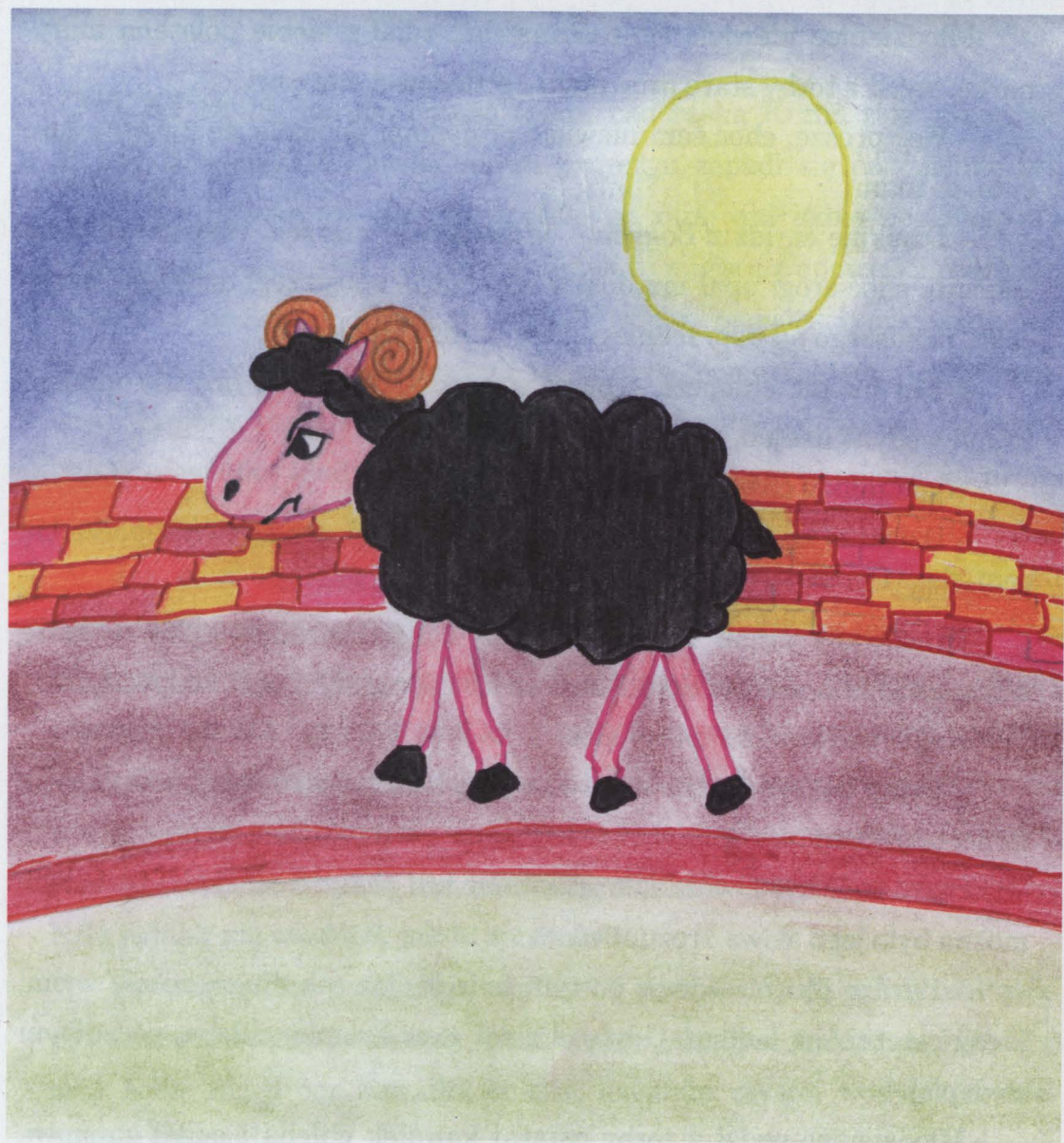
– Dzień dobry młodzieńcze, widzę, że bardzoś strudzony, usiądź przy mnie, odpocznij trochę.

Staruszek był siwiutki, a głos miał tak słaby i ochryply, że ledwie można było jego słowa zrozumieć:

– Bardzo długo wędruję po tym świecie, już tak długo, że nie wiem, kiedy ostatni raz jadłem. Gdybym zjadł choć kromkę chleba, poczułbym się lepiej.

Młodzieniec wyjął z torby ostatni kawałek chleba i oddał starcowi. Ten jadł chleb wolniutko, a kiedy zjadł, powiedział:

– Widać, żeś dobry człowiek. Oddałeś mi swój ostatni kęs chleba, napoiłeś i przyodziałeś. Czas abym i ja cię wynagrodził.



Monika Oleksiuk, kl. V b

– Nie dla nagrody to robiłem, lecz z serca – odpowiedział młodzieniec.

– Widzę, żeś nie tylko dobry, ale i skromny. Mało jest takich ludzi na świecie. Przyjmij więc ode mnie w nagrodę torbę, w której wszystko może się zmieścić.

Jak powiedział, tak się stało. W torbie można było znaleźć wszystko. Nie brakowało w niej nigdy jedzenia, picia i odzienia.

Młodzieniec chciał podziękować starcowi, lecz nim wy dobył z siebie słowo, staruszką już nie było. Ruszył więc w dalszą drogę, aż dotarł do jakiejś miejscowości, w której stała stara karczma.

Postanowił wejść do środka. Zajrzał do torby i ku zdziwieniu wszystkich wy dobył z niej świeży chleb, kawał mięsa i chociaż miał wodę w torbie, poprosił o kufel piwa. Stary Żyd – karczmarz zdziwił się bardzo, że ten ubogo ubrany i biedny człowiek jada jak prawdziwy pan. Przysiadł się do chłopca i chciał się koniecznie dowiedzieć, skąd pochodzi i dokąd wędruje.

– Dokąd idziesz młodzieńcze, gdzie masz swój dom?

Chłopiec odrzekł, że mieszka wszędzie i chodzi po świecie, aby zamknąć w torbie wszystkie duchy, strachy i nieszczęścia.

– Taki jesteś odważny? – zapytał Żyd. – A jakże ty, mizeroto, poradzisz wszystkim duchom i siłom nieczystym?

– Zamknę je w torbie – tu pokazał Żydowi torbę, która wydała się być bez dna.

– Ty chyba kpisz ze mnie starego – powiedział karczmarz.

– Wcale nie, możesz się o tym przekonać.

– A to dobrze się składa – powiedział sprytny Żyd. U mnie na strychu coś straszy. Zawsze o północy słyhać jęki, jakby jakiś płacz.

– To możesz dzisiaj spać spokojnie, nic ci nie będzie przeszkadzało – uśmiechnął się młodzieniec.

Kiedy wybiła północ, chłopak wszedł na strych, wyłapał wszystkie duchy, zamknął je, a torbę powiesił na ścianie. Potem położył się spać. Następnego ranka zdumiony właściciel karczmy sam się przekonał, że młodzieniec nie żartował i dotrzymał danego słowa. Tym bardziej więc zapragnął odkupić czarodziejską torbę.

– Dam ci za nią beczkę dukatów i na dodatek pięknego konia.

Ale młodzieniec nie zgodził się. Zapłacił za nocleg jak należy, podziękował za towarzystwo i ruszył w drogę.

Wtem patrzy – przy drodze stoi mała kuźnia, a w niej kowal wali młotem ile sił. Pomyślał więc chłop, że nadchodzi odpowiednia chwila, aby pozbyć się duchów. Chciał je wydobyć z torby i wybić kowalskim młotem, lecz duchy przyrzekły, że już nigdy nie będą straszyć. Chwilę pomyślał i wypuścił je na wolność.

Potem wędrował dokąd chciał, nie śpieszyło mu się do domu, bo go nie miał, nie miał też swoich najbliższych, sam był na świecie. Przez kilkanaście lat, a może i więcej, chodził po ziemi, pomagał ludziom w nieszczęściu, karmił zgłodniałych, poił spragnionych, przyodziewał obdarte.

Aż tu pewnego razu, gdy odpoczywał pod drzewem, przychodzi do niego czarny baran. Powoli zrzuca z siebie baranią skórę, przyobleka postać śmierci i tak powiada:

– Już ty niebogo musisz zejść z tego świata, bo i na ciebie przyszła kolej.

Przekorny człowiek, mimo, iż przeżył dużo lat i mógłby spokojnie umrzeć, nie pragnął jeszcze swojej śmierci. Złapał ją więc i zamknął w swojej torbie i nosił ze sobą jeszcze pięć lat. Przez ten czas ludzie nie umierali, jedni z tego powodu byli szczęśliwi, inni nie. Byli wśród nich także i ci, którzy oczekiwali śmierci jak zbawienia. W końcu naszemu

bohaterowi sprzykrzyło się życie, wypuścił śmierć z torby i pierwszy padł jej ofiarą.

Odtąd nikt już nie spotkał czarnego barana. Przepadł gdzieś na zawsze. Chyba dobrze się stało, że pozostał chociaż w tej legendzie?

Opowiadała Zofia Węgrzyniak z Międzyrzeca Podl. w 1979 r.

O PRACOWITEJ MARYSI I LENIWEJ HANCE



DAWNO, bardzo dawno temu, w niewielkiej osadzie nad Krzną żył chłop, któremu na imię było Jakub. Żona zmarła mu wcześniej i biedne chłopisko nie bardzo mogło sobie poradzić z prowadzeniem niewielkiego gospodarstwa. Chodził więc obdarty, brudny i wiecznie głodny. Gdy zabrakło żony, stał się bezradny i markotny. Ciężko mu było w dwójnasób, bo kobieta osierociła ośmioletnią córkę – Marysię, dziecko śliczne jak z obrazka, pracowite i chętne do pomocy. Lecz cóż mogły zrobić dziecięce rączyny? Jak mogły poradzić sobie w gospodarstwie?

Widząc nieszczęście i smutek wdowca, sąsiadki pomagały mu jak tylko mogły. To przynosiły gorącej polewki, to pierogów z serem, to znów kawałek chleba. I tak mijały dni pełne trudu i znoju. Więc baby – jak to baby – zaczęły Jakuba nachodzić i głowę mu tumanić, żeby się powtórnie ożenił. I tak go skołowały, że chłop ani się spostrzegł, jak naraiły mu wdowę energiczną gospodarną, ale bardzo chciwą.

Kobieta miała córkę Hanke. Rówieśniczka Marysi była jednak leniwa, niczego nie potrafiła zrobić. Macocha często złościła się na Marysię, a Hanke stroiła i oszczędzała. Marysia z ochotą i solidnie wykonywała swoją pracę, ale nigdy nie dostała pochwały, co najwyżej spotykały ją gniew i niezadowolenie, a nie rzadko – szturchańce.

Jakub pojął, że źle postąpił, ulegając podszeptom sąsiadek, lecz nic nie mógł na to poradzić. Zamykał się więc w sobie i do nikogo się nie odzywał.

Teraz macocha Marysi, a jego żona rządziła nim i całym dobytkiem. Nie chciał się jej narażać, toteż pracował ze swoją córką na cały dom. W wolnych chwilach, w tajemnicy przed macochą lubił siadać przy kominku i ćmiąc fajkę wspominał szczęśliwe chwile spędzone za życia pierwszej żony. Ojcowskie serce kroilo się z bólu na widok smutnej i wiecznie zaharowanej Marysi.

Pewnego razu macocha srodze rozgniewała się na dziewczynę i postanowiła pozbyć się pasierbicy z domu. Gdy Jakub wrócił z pola, tak rzekła do niego:

– Jak jej w lesie nie stracisz, to wygonię cię z domu i z tobą żyć nie będę.

Stary wiedział, że to nie przelewki, ale żal mu było córki, bo nie chciał odbierać jej życia. Zrozumiał, że musi coś wymyślić, aby zesła babie z oczu. Wziął konie, zaprzął do drabiniastego wozu, posadził na nim Marysię i pojechał do lasu. Modlił się gorąco po drodze i powierzył los córki ludziom i opatrności. Gdy zajechali na miejsce, stary zszedł z wozu i zwrócił się do córki:

– Nazbieraj suchych gałęzi, ja rozejrzę się w lesie, wytnę sosnę, wrócę po ciebie i pojedziemy do domu.

Serce ojca aż ścisnęło się z żalu. Wiedział, że zostawia dziecko na pastwę losu. Ale cóż mógł więcej dla niego zrobić? Szybko więc zaciął konie i wrócił do domu.

Tymczasem Marysia uwinęła się ze swoją robotą, siadła pod drzewem i cierpliwie czekała na ojca. Czekła godzinę, dwie, trzy, aż tu w lesie na drzewa pełźnie mrok. Robi się ciemno i nieprzyjemnie, a ojca ani widu, ani słychu. Dziewczyna poczuła się nieswojo, zaczęła rozglądać się i nawoływać:

– Tato, tato, gdzie jesteś?



Kornela Kędzierska, kl. VI d

Na próżno, nikt się nie odzywa, wołaniom tylko echo wtóruje. Marysia bezradnie rozgląda się wokoło i nie wie, co dalej robić. Siadła więc na ziemi pod krzaczkiem i czekała. Nagle słyszy czyjś głos:

– Czego tu siedzisz dziecko, czyś zbłądziła?

Marysia spojrzała przed siebie i widzi, że stoi przed nią stary, siwiutki człowieczek.

– Nie bój się mnie i powiedz, co ci się stało? – pyta.

– Dziewczyna opowiedziała mu o wszystkim. Staruszek wysłuchał uważnie i mówi:

– Nie masz już czego siedzieć, ojciec pojechał do domu, bo tak kazała mu macocha. Jeśli chcesz, to możesz iść do mnie na służbę.

Cóż miała robić – zgodziła się. Po godzinie, dwóch, a może i więcej doszli do starej leśnej chatki, w której mieszkał staruszek. W środku ciepło i przytulnie, ale widać było brak kobiecej ręki. Marysia od razu wzięła się do pracy. Pozamiatała podłogę, zmieniła pościel i z pobliskiego źródła przyniosła czystej wody. Potem rozpałała w kominku i zajęła się przygotowaniem stawy. Staruszek nic nie mówił, tylko przypatrywał się bacznie, jak dziewczyna krząta się po izbie.

Jej służba trwała calutki rok. Kiedy miała odchodzić, staruszek zapytał:

– Co ci dać za służbę?

– Co łaska, dobry panie – odrzekła.

Wtedy staruszek powiedział:

– Zaglądnij w moje ucho, jeśli czyste, to dam ci czystą zapłatę.

Marysia spojrzała w ucho – było czyste jak biały len. Dał jej więc gospodarz kufer złota i parę koni w srebrnej uprzęży. Dziewczynka pomyślała, że teraz macocha będzie z niej zadowolona i z radością zajechała przed dom. Jednak chytra baba zamiast się cieszyć z bogactwa kazała

Marysi wszystko dokładnie opowiedzieć. Kiedy poznała szczegóły, tak mówi do męża:

– Zabierz do lasu teraz moją córkę, niech i jej się poszczęści.

Stary wziął drabiniasty wóz i pojechał z Hanką do lasu. Wysadził ją pod drzewem i mówi:

– Nazbieraj suchych gałęzi, ja rozejrzę się w lesie, wytnę sosnę, wrócę po ciebie i pojedziemy do domu.

Córka baby wcale nie zbierała gałęzi, beczynnie siedziała pod drzewem i czekała na nieznanego człowieka. Miało się już pod wieczór, gdy usłyszała czyjś głos:

– Czego tu siedzisz, dziecko, czyś zabłądziła?

Hanka kłamała jak najęta:

– Przyszłam do lasu na grzyby i zbłądziłam, robi się ciemno i nie wiem, jak odnaleźć drogę do rodziców.

– Już nie trafisz do domu, chodź do mnie na służbę – powiada człowieczek.

I weszli do leśnej chatki staruszka, w której było ciepło i przytulnie. Hanka rozgląda się ciekawie, ale robić się jej nie chce. Czeką tylko na zapłatę.

– Idź no przynieś wody – prosi starzec.

– Ani mi się śni – woła Hanka.

– Idź no przynieś drzewa, bo trzeba pod kuchnią rozpalić.

– Ani mi to w głowie – znowu niegrzecznie odpowiada Hanka. I tak na beczynności i lenistwie przeleciał całutki rok służby. Przyszedł czas zapłaty. Człowieczek pyta:

– Co ci dać, czy pieniędzy, czy innego dobra?

Hanka z pośpiechem odpowiedziała:

– Wiadomo, pieniędzy i złota.

Wtedy starzec zaproponował:

– Zajrzyj w moje ucho, jeśli jest czyste, to i zapłata będzie czysta.

Hanka zajrzała, a ucho było tak paskudnie brudne, że aż się przeraziła. Wtedy stary mówi:

– Dam ci kufer i konia.

– Dawaj i to szybko – zawołała Hanka.

– Daję ci zapłatę na jaką zasłużyłaś, jednak pod jednym warunkiem, że obejrzysz zawartość kufra dopiero w domu.

– Dobrze, dobrze – odrzekła pośpiesznie.

W drodze powrotnej coś ją kusiło, aby zajrzeć do kufra, pamiętała jednak o przestrodze staruszka. Zajechała przed dom, a tu wdowa wybiega, córkę czule ściska i rozpytuje, co i jak. A ponieważ obie były ciekawe, co znajduje się w kufrze, szybko go otworzyły.

Z kufra zaczęły wylać żaby, jaszczurki, kąśliwe węże i żmije. Wtedy baba z córką w krzyk, pisk i głośny lament. Wówczas do izby weszła Marysia. Żal jej się zrobiło Hanki, bo serce miała litościwe.

– Zabiorę od was to robactwo, ale musicie mi obie przyrzec, że już nigdy z ojcem moim kłótni nie będzie, a Hanka weźmie się do roboty i przestanie się stroić.

Matka z córką były tak przestraszone, że chętnie przystały na warunki Marysi. Wtedy ona cichym głosem przemówiła do zwierząt. Co się stało, pewnie się sami domyślacie. Nieznośne stwory posłusznie powłaziły do kufra. Ile razy potem macocha próbowała krzyczeć na ojca lub łajać Marysię, z kufra dawał się słyszeć syk węża. Wtedy ona szybko milkła i zaganiała swoją córkę do roboty. Po roku solidnej pracy Hanka stała się milsza, uczciwsza i grzeczniejsza. A Marysia z ojcem opowiadali sobie, jak to praca ludzi wzbogaca, a lenistwo prowadzi do nieszczęścia.

Witowt. „Wisła” t. 19 z 1905 r.

DWA PIERŚCIENIE



AWNO, dawno temu, w pewnej podlaskiej wsi, położonej między dwiema rzekami, otoczonej starymi borami, mieszkała piękna dziewczyna o niezwykłym imieniu Perelija.

Była ubogą sierotką i coraz to najmowała się do bogatych ludzi na służbę. Jedyną drogocenną rzeczą, którą posiadała był blaszany pierścionek, pamiątka po matce. Strzegła go więc jak żrenicy oka. Kiedy wykonywała różne posługi, pierścionek chowała do swego pudełeczka i dlatego, choć blaszany, błyszczał zawsze jak ze szczerzego złota. Nakładała go tylko wtedy, gdy wybierała się po wodę do odległego od domu źródelka. Zawsze kogoś po drodze spotykała, serdecznie zagadnęła, pogwarzyła. Wszyscy zachwycali się jej pierścionkiem i wierzyli, że biednej sierotce musi przynieść szczęście.

Pewnego dnia – jak zwykle – wstała bardzo wcześnie, rozpałała ogień pod blachą, wydoiła krowy, wzięła konwie i poszła po źródlaną wodę dla pana, który innej wody nie pijał. A że była zawsze bardzo pogodna i wesoła, zaczęła nucić piosenkę:

„Jest drożyna jest

przez calutką wieś.

Wydeptała ją Kasieńka

jak nosiła jeść...”

Głos miała Perelija mocny i dźwięczny tak, że echo niosło słowa piosenki po całym lesie. Droga jej się dłużyła, lecz niebawem doszła do źródelka. Postawiła konwie na ziemi i już chciała zaczerpnąć wody, gdy z przerażeniem spostrzegła, że na palcu nie ma swojego pierścionka. Zaczęła go szukać w trawie, nachyliła się nad źródelkiem, lecz pierścionka nie znalazła. Usiadła więc zrozpaczona i rozpłakała się.

Wtem, jak spod ziemi, wyrósł przed nią dziwny stwór, ni to jeź, ni to zwierz i przemówił ludzkim głosem:

– Jeślibyś poszła za mnie, to bym ci pierścionek oddał.

Dziewczyna się przestraszyła, ale po chwili rzekła:

– Dobrze, obiecuję ci, że zostanę twoją żoną i będę ci wierna aż do śmierci.

Nim skończyła mówić, stwór zniknął, a pierścionek znalazł się na palcu. Otarła więc łzy i powoli wróciła do domu, nie mówiąc nikomu o tym spotkaniu.

Wkrótce zapomniała o całym zdarzeniu. Każdy dzień wypełniony był ciężką pracą. I tak żyła między praniem, cerowaniem, gotowaniem i bieganiem po wodę.

Minał miesiąc, dwa, może rok. Perelija siedziała do późnej nocy, cerowała swoje porwane rękawice i nuciła cichutko.

Aż tu nagle: Stuk... puk! Stuk... puk! – ktoś zapukał. W pierwszej chwili wydawało się jej, że to łoskot wiatru za oknem, ale pukanie powtórzyło się. Dziewczyna wyjrzała przez okno, podeszła do drzwi, lecz nikogo nie spostrzegła. Usiadła i dalej cerowała. Po chwili usłyszała piosenkę:

*Otwórzże mi Perelija
Otwórzże mi, śliczna miła,
Jakeś w zdroju wodę brała,
Toś ty ze mną ślubowała,
Perelija moja.
Wsadź mnie za stół,
Śliczna miła.
Dajże mi jeść, Perelija,
Dajże mi pić, śliczna miła.
Ścielże łóżko, Perelija,
Zagaś ogień, śliczna miła.*



Agnieszka Saczuk, kl. V a

Perelija domyśliła się, kto śpiewa tę piosenkę i chociaż bardzo się bała, otworzyła drzwi. Do sieni wsunął się ni to jeź, ni to zwierz. Owiało go miłe ciepło idące od komina i zapach świeżego chleba. W jednej chwili dziwny stwór zrzucił z siebie skórę zwierzęcą i przed zdziwioną dziewczyną stanął dorodny junak. Perelija cofnęła się, nie wierząc własnym oczom. Młodzieniec zaś odezwał się tymi słowy:

– Byłem przez swoją lekkomyślność zaklęty w szkaradnego zwierza. Czarownik powiedział, że odmieni mnie tylko wtedy, gdy spotkam na swojej drodze dziewczynę, która dotrzyma obietnicy małżeństwa. To dzięki tobie, droga Perelijo, stałem się znowu człowiekiem. Czy chcesz dotrzymać danej obietnicy?

Dziewczyna nie mogła wykrztusić z siebie słowa, tak była oczarowana młodzieńcem i jego nagłą przemianą.

– Czy chcesz zostać moją żoną? – powtórzył z uśmiechem.

– Tak – odrzekła Perelija i podała mu dłonie. On zaś przypadł do nich i długo, z szacunkiem całował. Potem wyprostował się i powiedział:

– Włóż teraz pierścień, dar mojej miłości – mówiąc to chciał założyć na jej smukłą rękę drogocenny podarek. Dziewczyna cofnęła się speszona.

– Ja mam już pierścioneń – pamiątkę po mojej kochanej matce.

Ale młodzieniec na nic nie zważał i założył swój na palec obok pierścienia po matce.

Tak kończy się opowieść o wiernej dziewczynie i pięknym młodzieńcu. Mogę Wam tylko powiedzieć, że żyli jeszcze bardzo długo i szczęśliwie. Odtąd Perelija pracowała już we własnym gospodarstwie i wraz z mężem, zręcznym kowalem, nigdy nie zaznała biedy.

Witowt. „Wiśła” tom 17 z 1903 r. s. 549, 550.

CUDOWNE PODARKI



PODAL pewnego miasteczka na Podlasiu stała chatka maleńka. Cała już prawie w ziemię się zapadła, tak, że z niewielkich okienek nigdy nie było widać nieba i słońeczka. Ze starości była krzywa i pochylona, a na dachu mchem porośła.

W chatce mieszkała uboga wdowa. Jej dobytek – to dwa zagonki pola i ogródek chwastem zarosły. Wdowa miała syna jedynaka, bardzo go kochała i całym sercem pragnęła zebrać dla niego trochę majątku. W domu jednak, aż bieda piszcziała i wszystkie starania wdowy nie na wiele się zdały. Co tylko parę groszy u dobrych ludzi zaoszczędzi, już je musi wydać na jadło i przyodziewek i nigdy nie zostaje więcej niż trzy grosze. Tymczasem synek rósł zdrowo, a gdy miał już trzynaście lat, matka tylko te trzy grosiki chowała dla niego w skrzyni.

Pewnego wiosennego dnia tak mówi do niego:

– Nie mogę ci więcej dać więcej niż trzy grosze i błogosławieństwo na drogę. Weź pieniądze i idź w świat. Pamiętaj, że ciężko musiałam na nie pracować. Sam może łatwiej się dorobisz.

Chłopiec pokłonił się matce, ucałował spracowaną dłoń, pieniądze schował do węzełka i poszedł.

Wędrował przez pola, łąki i lasy. Rozglądał się dokoła ciekawie. Gdy tylko gwiazdy zeszły z nieba, rozmawiał ze słońkiem i ptakami, a wieczorem skarżył się księżycowi na swoją niedolę.

W końcu przywędrował do miasta i myśli, co by tu sobie kupić? Z głodu aż kiszki marsza grają, przyodziewek ledwie się trzyma kupy, ale co można za trzy grosze dostać? Kupił więc jedną jedyną świecę i pieniądze się skończyły. Chodził głodny od kramu do kramu, oglądał towary

wystawione przez kupców. Nie mógł jednak znaleźć ani współczucia, ani zarobku. Nie bacząc więc na zmęczenie ruszył w dalszą drogę.

Miało się już dobrze na wieczór, gdy przy gościńcu ujrzał starą karczmę. Postanowił w niej przenocować. Wchodzi do głównej izby i widzi, że jest pusta, tylko na ścianie wiszą jakieś dwa portrety. Obszedł wszystkie cztery gołe kąty, przełamał kupioną świecę na dwoje, jeden kawałek postawił przed jednym portretem, drugi zapalił przed drugim, potem wlaź na piec, położył się i zasnął. W karczmie zaległa cisza, słychać było tylko cykanie świerszczy za kominem.

Aż tu przed północą – jak nie zerwie się szum, łoskot, zawierucha taka, że strach. Chłopak przebudził się, patrzy – i widzi trzech ludzi, jak kręcą się po izbie i węższą dookoła. Przybysze poznali, że ktoś jest ukryty na piecu i wołają:

– Chodź no tu!

Chłopak zlaźł z pieca i podszedł do nich, a oni go pytają;

– Który portret wybierasz? Ten, czy tamten?

On im na to:

– Mnie tam wszystko jedno!

Ale oni nalegają:

– Powiedz, który według ciebie jest lepszy?

Lecz on znowu swoje:

– Wszystko jedno, oba są dobre!

Bardzo się ucieszyli z takiej odpowiedzi chłopca i mówią:

– No, skoroś tak mądry, to ci coś подарujemy.

Jeden dał mu złotą strzelbę, drugi skrzypce, takie, że kto je słyszy i nawet nie chce, to musi tańczyć, trzeci zaś dał mu takie buty, że jak zrobi w nich krok, to znajdzie się o kilometr dalej, a jak skoczy – to siedem. Chłopiec wziął podarunki, podziękował i poszedł.

Idzie drogą, idzie, a naprzeciw jedzie pan złoconą kareta. Wąsiska ma wielkie i sumiaste, torbę myśliwską i wysokie buty. Zobaczył chłopca i woła do niego:

– Hej, chodź no tu!

A on, przestraszony, podchodzi.

– Skąd masz taką strzelbę? – pyta pan, bo mu się bardzo ta strzelba spodobała. Może byś mi ją sprzedał? Dobrze ci za nią zapłacę.

– O nie, to podarunek – odpowiada chłopak – za nic jej nie sprzedam.

– Jeśli nie chcesz sprzedać, to musisz mi ją dać – mówi pan kategorycznie. Lecz prośby i nakazy pana nie dają rezultatu. Chłopak uparł się i nie chce o niczym słyszeć.

– A czy ona dobrze strzela? – pyta z uporem pan.

– Strzel do tego orla, który kołuje wysoko w górze nad nami.

Chłopak szybko wycelował, strzelił – trafił! Orzeł kilkakrotnie zakoziołkował w powietrzu i zaczął spadać, aż upadł w sam środek gęstych zarośli. Pan chciał zabrać tego orla, ale cóż stangreta nie mógł posłać, bo konie były narowiste i płochliwe, sam by ich nie utrzymał. Trudna rada, trzeba wysiąść z karety i iść samemu. Tak też pan zrobił. Poprawił torbę myśliwską i poszedł sam.

Tymczasem chłopak wyjął skrzypce, nastroił je i zaczął grać. Stangret usłyszawszy muzykę podryguje z ochotą. Również konie zaczynają tańczyć. Coraz trudniej je utrzymać. Musi więc stangret zeskoczyć z kozła na ziemię. Jedną ręką chwyta za uzdę jednego, drugą drugiego i tańczy jak tylko potrafi.

A echo niesie muzykę szeroko po polach, łąkach, drogach i rozstajach.

W lesie tańczą wszystkie zwierzęta i ptaki. Tańczy także i pan w krzakach tarniny, nawet o orle zapomniał. Wreszcie grajek się zmęczył

i grać przestał. Zrobił jeden krok w swoich butach – już jest kilometr dalej, zrobił drugi – już dwa, a jak skoczył to już siedem kilometrów.

Pan nie znalazł orła w krzakach i do tego jeszcze podarł kosztowne ubranie, poszarpał je na ostrych kolcach tarniny, pokaleczył się i tak wyczerpał tańcem, że o własnych siłach nie mógł dojść do powozu. Zaś po powrocie do pałacu obłożnie się rozchorował.

Minęło sporo czasu, może rok, może dwa, a może pięć. Chłopak dalej wędrował po świecie, aż przyszedł do dworu owego pana. Spotkał lokaja i mówi:

– Jestem wędrownym grajkiem, muzyka moja odpędza smutek i wszelką chorobę.

Lokaj pobiegł do pana i po chwili wprowadził chłopca na pokoje. Wchodzi i widzi, że pan leży w łóżku w puchowej pościeli. Poznał od razu chłopaka i krzyczy:

– Ach to ty? Czekaj, już ja ci dam!

Zawołał służbę i rozkazał go związać i wtrącić do więzienia. Trudna rada, jak pan każe sługa musi. Chwycili go, związali, odebrali strzelbę, zostawili tylko buty i skrzypce.

Siedzi chłopiec w więzieniu i czeka na sąd. Smętnie spogląda przez zakratowane okienko, matkę swoją wspomina.

Tymczasem do zamku przyjeżdżają bogaci panowie w karetach zaprzężonych w wypasione konie. Wysiadają z nich pięknie ufryzowane panny i sztykowni kawalerowie. To pan wyprawił bal, na który przyjechało mnóstwo zaproszonych gości. Przy stole głośno opowiadał wszystkim, co mu się przydarzyło i o tym, że ma teraz tego grajka w więzieniu. Goście usłyszawszy opowieść zaczęli prosić gospodarza, aby kazał przyprowadzić owego chłopca do sali. Więc służba przyprowadziła grajka.

– O, to ten nicpoń tak grał, że musiałem tańczyć, aż się pokaleczyłem. Trzeba go ukarać! – krzyczy pan.

Goście na to:

– Dobrze, możemy go osądzić, tylko niech najpierw zagra!

Pan tłumaczy gościom:

– Nie będzie grał, bo jeśli zagra, będę musiał tańczyć i ducha wyzionę!

Goście byli w wybornych humorach, więc zaczęli się śmiać i dalej nalegać, żeby jednak grał. A pan nic, tylko swoje.

Widząc jednak, że na upór gości nie ma lekarstwa, pozwolił:

– Niech już gra, tylko przywiążcie mnie do łóżka linami, żebym się nawet nie mógł ruszyć.

Słudzy przynieśli powrozy i związali nimi pana tak, jak im przykazał.

– No teraz może zagrać – zgodził się.

Chłopcu nie trzeba było mówić tego dwa razy. Wciągnął na gołe stopy podarowane buty. Chwycił skrzypce i smyczek i jak nie zaczął grać!

A panowie i panie jak nie złączą tańczyć – aż sala jęczy. Połamali i zniszczyli wszystko, co im tylko na drodze stało: stoły, ławy, krzesła, i nic, tylko tańczą jak wichry splecione. A grajek gra dalej i gra. Pan na swoim łóżku tak zaczął podskakiwać, że aż trzeszczało. Udało mu się jakoś uwolnić jedną nogę z powrozów, wysunął ją na podłogę i tupie: tup, tup, tup.

Przy tym powtarza w kółko:

– A ja grać nie kazałem! A ja grać nie kazałem! Wreszcie chłopcu znudziło się to granie, widzi że panowie i panie ledwie zipią z wysiłku. Oczy mają wytrzeszczone, ręce spocone, a nogami już tylko przebierają. Chwycił z rąk lokaja swoją strzelbę, stąpnął raz – już kilometr, skoczył raz drugi – już siedem kilometrów. I uciekł.

Witowt. Gadki z Ostrówka

„Wisła” tom 19 z 1905 r., s. 293-296.

SZEWEC I JĘZYKI



PODLASKIEJ, zabitej deskami mieścinie żył sobie pracowity szewc. Klepał buty przez wszystkie dni tygodnia, nawet w sobotę wieczorem, a gdy trzeba było, to i do północy.

W niedzielę zaś pił na umór, jak to zwykle szewcy czynią.

Pewnego razu, a było to latem w sobotę, pracował przy otwartym oknie. Powietrze było ciężkie i pewnikiem miało się na burzę. Pot lał mu się strumieniami z twarzy, tak było duszno. Zamówień na nowe buty miał dużo, a i obietnice reperacji zbiegły się jak na złość. Tedy wzdychał tylko ciężko i nie bacząc na zmęczenie zwiżał się jak w ukropie.

Aż tu gdzieś koło północy przyszło coś i stanęło pod oknem – człowiek nie człowiek, zwierz nie zwierz, paszczę rozwarło, a język wysunęło na brodę. Szewc jak to zobaczył, tak się przestraszył, że porwał nóż i temu straszidłu uciął język.

A ono nic, patrzy tylko i stoi. Tak on znów tnie nożem po języku, a ono dalej stoi. Kawałki języka padają na podłogę, szewc rąbie nadal z całej siły, a od potu prawie na oczy nie widzi.

Nagle zerwała się wielka wichura i lunął rześisty deszcz. Widmo zachichotało i znikło. Szewc przestraszył się bardzo, bo to tylko siły nieczyste tak znikają. Zamknął więc okno i poszedł spać.

Po ciężkiej nocy wstaje i nie wierzy własnym oczom. Zydel przewrócony, nóż złamany na podłodze, buty porozrzucone po kątach izby, a do tego każdy but ma ucięty język. Chwycił się szewc za głowę i głośno zapłakał. Robotę trzeba było zaczynać od nowa.

Od tego czasu szewcy w soboty nie pracują, tylko przyklejają języki w obuwiu.

Podanie ze wsi Ostrówki zapisał Witowt. „Wiśła” 1904 r. I. 18 s. 330.

O CHYTRYM CHŁOPIE, KTÓRY PŁATAŁ FIGLE ZWIERZĘTOM

DEWIEN chłop miał pstre i graniaste woły, które bardzo ciężko pracowały w polu. Gospodarz dbał o nie jak o własne dzieci, więc mimo harówki na roli wyglądały dostatnio i pięknie. Skóra na nich świeciła się jak malowana.

Kiedy chłop poszedł orać, przychodzi do niego wilk i mówi:

- Ładne masz woły, pstre i graniaste!
- A bo to ja sam je tak wystroiłem – chwali się chłop.
- Żebyś ty i mnie mógł tak wystroić – prosi wilk.
- Ano, poczekaj chwilę, aż dojdę z wołami do chałupy.

Przyszedł do domu, wziął siekierę i dalej wilka stroić. A stroi go tak, że mu krew strugami cieknie. Wilk jęczy i wyje, a chłop wycina mu siekierą pasy i łaty. Po wszystkim przejrzał się żarłok w studni, zobaczył swoje odbicie i zwraca się do gospodarza:

- Twoje woły są takie graniaste i ładne, a ja jestem cały czerwony.
- No to się wylekuj, a będziesz jak i moje woły.
- A czym ja się będę lekował? – zapytał wilk.
- Biegnij w najtęższe jałowce i tarzaj się mocno, to się wygoisz.

Jak chłop poradził, tak wilk zrobił. Poleciał do lasu, znalazł wysokie jałowce, zaczął się tarzać i głośno z bólu wyć, aż się niosło po lesie. Nagle przybiega do niego zając i pyta:

- Cóż wy, stryju, jesteście tak okaleczeni i jucha wam z boków cieknie? – A to tamten chłop, co w polu orze, tak zrobił, abym był ładny, tak jak jego woły – wyjęczało wilczysko.

– Oj, bieda stryju, bieda – powiada zając – lecz zbytnio się nie martw, ja mu woły wystraszę, to do lasu przylecą, to wy podjecie i ja coś dostanę.

Pokicał zając na pole, usiadł na skibie ziemi i czeka. Chłop batem woły pogania, one ciągną pług i wcale nie zwracają uwagi na zająca.

W pewnej chwili szarak się zagapił i woły złamały mu łapę. Wraca więc do wilka, jęczy, utyka na nogę i mówi:

– Stryju mnie też spotkało nieszczęście.

Siedzą więc obaj zasmuceni i markotni. Aż tu nagle przylatuje bąk i pyta:

– Czym się trapiacie przyjaciele?

– Ano chłop mnie tak urządził, że już chyba ducha wyzionę – wyznał wilk.

– A mnie boli złamana łapa – ledwie wyszeptał zając.

– Ja mu zaraz pokażę – zabuczał bąk groźnym głosem.

– Lecę do chłopu, wystraszę mu woły, wy je podusicie, podjecie sobie, a i ja coś dostanę.

Jak powiedział, tak i zrobił. Lata bąk koło wołów, siada na ich grzbietach, ale woły zamasyżycie machają ogonami i odpędzają natręciucha. W końcu bąk się zdenerwował:

– Ja wam teraz pokażę, niech no tylko naostrzę żądełko!

Siadł sobie na uprzęży, żądełko ostrzy, chłop go jednak zobaczył, zdjął z głowy czapkę i szybko przykrył nią bąka. Na nic nie zdały się próby schwytanego. Chłop był nieugięty.

I tak oto prosty gospodarz przechytrzył przebiegłego wilka, który chyba zrozumiał, że noszenie własnej skóry, choćby najbrzydszej, jest lepsze niż strojenie się w cudzą.

Zapisał Witowt. „Wisła” 1904 r. t. 18 s. 534, 535

CZARNA RÓŻA



ARDZO dawno temu w niewielkim miasteczku na Podlasiu otoczonym trzema rzekami, żyli dwaj bracia.

Jeden z nich był bogaty, drugi biedny. Bogaty i chytry mieszkał w kamienicy, a biedny w mizernej chatce, z dala od rynku, nad rzeką Krzną. Mijało już dwa razy po trzy lata, może i więcej, a bogaty brat nie przekroczył progu domostwa biedaka. Nawet o nim zapomniał, bo myślał tylko o swoim bogactwie.

Aż tu któregoś dnia w miasteczku gruchnęła wieść, że pan na Zamczysku potrzebuje ogrodnika do pielęgnowania parku. Rozeszła się ona lotem błyskawicy. Pod zamkiem zebrał się tłum. Wszyscy chcieli otrzymać pracę, gdyż nikomu się nie przelewało. Biedny brat był tak wycieńczony z głodu, że zatrzymał się z boku i potulnie czekał.

Nagle z trzaskiem otwarły się wielkie kute w żelazie wrota. Stał w nich pan w stroju ociekającym złotem. Rozejrzał się wokoło i wskazując ręką na biednego brata powiedział:

– Widzę, że tyś biedny, skromny i cierpliwy, zostaniesz u mnie ogrodnikiem.

On zaś rzucił mu się do nóg dziękować, ale pan podniósł go, kazał służbie przyodziać, nakarmić i wprowadzić do zamku.

Od tej pory życie biedaka i jego rodziny odmieniło się. Kiedy usłyszał o tym bogaty brat, aż skręcał się ze złości.

Pewnego razu pan wezwał ogrodnika do siebie i mówi:

– Masz tu nasionko, spulchnij ziemię w parku, włóż je do ziemi głęboko, podlej i pilnuj jak oka w głowie. Kiedy wyrośnie roślina, masz o nią dbać jak o własne dzieci. W przeciwnym razie miejsca u mnie nie zagrzejesz, a i zarobek stracisz.

Biedak wziął w dłonie delikatne nasionko i poszedł wykonać polecenie pana.

Minęło trochę czasu, może jeszcze więcej, gdy w miejscu, gdzie ogrodnik wsadził nasionko wystrzeliła najpierw wątła, zielona roślinka. Od razu zaczęła szybko rosnąć. W południe słońeczko ogrzewało ją swoimi promyczkami, wieczorami zaś podlewał rzęsy deszczyk. Z dnia na dzień rozrastała się, pokrywała zielonymi listkami, aż kiedyś o północy, przepięknie zakwitła. Widać dobrze się nią ogrodnik opiekował, bo z niewielkiej roślinki wyrosła na dorodny krzew róży. Dziwili się dworzanie, że była pokryta cudnym, czarnym kwiatem i do tego nie miała kolców. Od razu się widziało, że była to niezwykła róża.

Do zamku zaczęli zjeżdżać bogaci goście z różnych stron świata. Za wszelką cenę chcieli podziwiać cud natury – czarną różę bez kolców. Do parku przychodzili także mieszkańcy małego miasteczka. Ogródnik miał pełne ręce roboty. Oprawdzał, odpowiadał na pytania, pokazywał wyhodowaną różę. Nawet bogaty brat z zazdrością spoglądał teraz na biedaka.

Pewnego dnia, kiedy róża już wszystkim spowszedniała i zaczęła więdnąć, zmęczony ogrodnik usiadł obok niej. Patrzy i własnym oczom nie wierzy. Oto z czarnej róży wychyla się srebrny żuk i mówi ludzkim głosem:

– Za to, że tak dbałeś o czarną różę, spełnię twoje jedno życzenie.

Biedny brat rozejrzał się wokoło czy ktoś tego nie słyszał, pochylił się nad żukiem i odparł:

– Zgoda.

Wtedy srebrny żuk powiada:

– Chwyć mnie, ukryj głęboko w kieszeni, a od tej pory będziesz miał w życiu szczęście.



Paulina Hodun, kl. IV c

Następnego dnia ogrodnik podziękował panu za pracę i wrócił z żukiem do swojej chatki nad Krzną.

I stało się tak, jak powiedział żuk. Biedak otrzymał pracę w pobliskim lesie, a rodzinie nie zagrażał już głód. Dzieci odzyskały radość życia, żona miała teraz ręce pełne roboty. Trzeba było bowiem karmić prosięta, doić krowy i doglądać całego gospodarstwa.

Minęło trochę lat, a biedny brat stał się gospodarzem całą gębą. Wieczorami siadał przed chałupą i zaglądał do skrzyni, w której trzymał srebrnego żuka. Lecz pewnego dnia żuk znikł ze skrzyni, a na jego miejscu pozostała zasuszona czarna róża. Wtedy cała rodzina pojęła, komu zawdzięcza szczęście: pracy i czarnej róży, która zakwitła dzięki wysiłkowi w pocie czoła.

Nawet bogaty brat, bardzo markotny, rad nie rad musiał zrozumieć, że pracą ludzie się bogacą, a chytryść nie zdaje się na nic. Od tego czasu bracia żyli ze sobą w zgodzie.

*Opowiadał Czesław Goławski
z Międzyrzeca Podl. – 1968 r.*



Magdalena Smal, kl. VI d

SPRYTNY PIECUCH



DZIAŁO się to nie wiadomo gdzie i kiedy. Pewnie gdzieś za siedmioma lasami i siedmioma górami, w krainie, w której słońce świeciło jak chciało, wstawało o różnych porach i kładło się spać według własnego uznania.

W takim to dziwnym kraju było malutkie królestwo, a w tym królestwie rządził bardzo smutny król. Powodem jego troski i zmartwień była córka, którą już od paru lat więził straszny i wielki lew. Zamykał ją w ogromnej i niedostępnej pieczarze, której sam strzegł dniem i nocą.

Zrozpaczony król ogłosił, że kto wyrwie z pazurów lwa jego ukochaną córkę, zostanie zięciem królewskim, a także otrzyma nieprzebrane bogactwa.

Wielu śmiazków przybywało na wezwania króla, wielu też walczyło ze strasznym lwem, ale nikomu nie udało się go pokonać. Dla jednych dzień był na to za krótki, dla innych zbyt długa była noc.

Aż postanowił spróbować szczęścia sprytny Piecuch, który dotąd całymi dniami lubił wylegiwać się na piecu. Doszło nawet do tego, że nie wiedział kiedy jest dzień, a kiedy szarówka. Nudził się więc bardzo, ale że miał dobre serce, postanowił ratować królowną.

Nie ociągał się zbyt długo i wybrał w drogę. Idzie, idzie i wydaje mu się, że drogi zamiast ubywać – przybywa, ale że spał dobrze całą noc, nie czuje zmęczenia.

W pewnej chwili na ścieżce zobaczył skrzypce. Wziął je więc i wędruje dalej. Uszedł prawie parę kroków i widzi płachtę, w niej drobne kamienie. – Wezmę – myśli – może się przyda. Uszedł jeszcze parę kroków i znalazł węzełek, a w nim orzechy.

Z dalszej drogi zabrał ze sobą jeszcze bat i klin murarski. Szedł tak jeszcze dość długo i nagle znalazł się oko w oko ze strasznym lwem.

– Stój no, coś ty za chwat?

Piecuch nic nie mówi do lwa, tylko wyjmuje orzechy i zaczyna sobie gryźć.

A lew pyta:

– Co ty gryziesz?

– Orzechy.

– A czy to dobre? – pyta dalej lew.

– Masz, skosztuj – zachęca Piecuch i daje mu kamienie. Lew gryzie i gryzie – i nie może ugryźć.

– To ty możesz zgryźć orzechy, a ja nie mogę? – pyta znowu lew.

Wtedy Piecuch krzyczy:

– Ja jestem mocniejszy!

Potem wyciąga skrzypce i zaczyna grać. Lew słucha i słucha, w końcu powiada:

– A może i mnie nauczyłyś grać?

Wtedy on mówi:

– Za grube masz palce, ale jakby je trochę ściąć, to i ty będziesz grał.

– A jakże się je ścina? – nie ustępuje lew.

– Podejdź tu do słupa, to ci pokażę – wsadź palce w tę szczelinę – tłumaczy Piecuch.

Lew bezmyślnie wykonał polecenie. A chłopak przy pomocy klina mocno ścisnął łapy zwierza i zaczął go bić batem.

Lew, choć był mocny i wytrzymały, jak przystoi na króla zwierząt, zaczął strasznie ryczeć i wić się z bólu.

– Puść mnie, uwolnij, a uczynię co zechcesz – wołał ze łzami w oczach.

– Chcę dostać się do królowny, musisz mnie wziąć pod opiekę i strzec od wszystkiego złego – powiedział Piecuch.

– Dobrze, zgoda – mówi lew – tylko mnie wypuść.

Piecuch nie dał się długo prosić i uwolnił lwa z pułapki. Zadowolony król zwierząt zaprowadził młodzieńca do swojej kryjówki, pościelił mu łóżko i zaproponował wypoczynek. Lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, że lew został pokonany, a królowna odzyskała wolność.

Król bardzo się ucieszył i postanowił zobaczyć swego przyszłego zięcia. Wybrał się do pieczary lwa i stanął u wejścia:

– Otwórz!

Wtedy lew powiada:

– Cicho, bo mój pan śpi.

– Pan, jaki pan? – ze zdumieniem pyta król.

– Nie budź go, bo on jest mocny, mocniejszy nawet ode mnie.

– Ja wejść cichutko, nikogo nie obudzę – odparł król zaskoczony tym, że lew jeszcze żyje.

Wpuszczony do kryjówki obejrzał śpiącego Piecucha, który wydał mu się szkaradny, oberwany i brudny. Nie chciał mieć takiego zięcia, wiedział jednak, że musi dotrzymać obietnicy, tym bardziej, że ten oto młodzian jego córce bardzo przypadł do gustu. Namawiał nawet lwa do zdrady i zabójstwa Piecucha, ale zwierz pomny swojej klęski najpierw nie zgodził się. Kiedy jednak król nalegał obaj zaczęli obmyślać plany zabójstwa. Wtedy Piecuch porwał królownę i w pobliskiej kaplicy wziął z nią ślub.

Tak więc wszystko skończyło się szczęśliwie, król musiał pogodzić się z losem. Młodzi żyli długo i dobrze im się powodziło. Lew całkiem spokorniał, doszło do tego, że bał się nawet myszy. Na starość bawił się z dziećmi królowny i Piecucha.

Witowt. „Wisła” 1940 r. t. 18 s. 535
(opowiadał Szymek Cygan z Olszewnicy. 1895 r.)

LOS KOWALA



BYŁ sobie kowal pijak. Swoją rogatą duszę zaprzedał złym duchom. Pił tak dużo, że zapominał o dzieciach i żonie, nie wracał do domu, a najwięcej czasu przebywał w karczmie w otoczeniu podejrzanym osobników.

Pewnego razu, gdy szedł napić się okowity, spotkał Pana Jezusa ze swoimi uczniami. Stropił się bardzo, gdy jeden z nich zapytał:

– Czy mógłbyś nas przyjąć na nocleg?

Wiedział nasz kowal, że w domu się nie przelewa, a rodzina często jest głodna, ale odpowiedział:

– Czemu nie, mogę, bo godzi się każdego ugościć. Przyprowadził wszystkich do domu i prosi żonę, aby gotowała wieczerzę. A ona mówi:

– W komorze pustki, w beczce widać dno, nie mam z czego przygotować posiłku.

Słyszając to kowal zaczął prosić:

– Daj parę woreczków, to ci przyniosę kaszy i mąki. Gdy żona je przyniosła, wybiegł szybko z domu, by u sąsiadów zaciągnąć pożyczkę, jak zwykle na kredyt.

W tym czasie w domu kowala stał się cud. Żona wsypała do sagana ostatnią garsteczkę kaszy i ugniotła ciasta z garsteczki mąki. Wszystko to w cudowny sposób urosło i narosło. Nakładali więc goście do misek ile tylko chcieli. Szczerze popodjadali, a potem poszli na nocleg. Przychodzi kowal, patrzy, a tu wszyscy smacznie śpią i chrapią, aż się trzęsie cała chałupa. Na drugi dzień, gdy tylko pokazało się słońce, wstają i już mają odchodzić, gdy Pan Jezus pyta kowala:

– Co dać ci za nocleg i gościnę?

A on mówi:

– Nic nie chcę.

– Jak to nic – pyta zdumiony Jezusiczek. – Może potrzebujesz nieba?

Wtedy kowal krzyczy:

– Jak mi będzie trzeba, to i sam tam zajdę.

Nic się nie nauczył kowal – pijaczyna. Dalej pił. Chodził do karczmy, wszczywał awantury i zapominał o rodzinie.

Aż tu pewnego dnia przylatuje zły duch, który spisał umowę z kowalem o duszę i nagli go do piekła.

– Niech sobie pan siądzie na gruszy – zachęca ducha – ja przez ten czas porachuję się z dłużnikami. Posłuchał duch obietnicy i czeka. Nie wie, że kowal siedzi za stołem w karczmie, smakuje okowitę i o nim już zapomniał. Siedzi do północy, przyrósł do gruszy, a rano musiał ją zabrać ze sobą.

Na drugą noc przylatuje inny duch i chce brać kowala ze sobą.

– Siadaj na słupie pod oknem – proponuje przebiegły kowal – czekaj aż sprzedam pole. Duch siedzi, cierpliwie czeka, a spryciarza nie ma. Przyrósł już biedaczysko do słupa. Przyszła północ i duch ze słupem wynosi się jak niepyszny.

Na trzecią noc przyleciał następny i też chce porwać kowala.

– Niech pan siądzie na tym kamieniu – zaprasza nasz bohater – idę zobaczyć się i pożegnać z żoną, dziećmi i krewnymi. Duch uwierzył, a kowal poszedł znów do karczmy. Nadeszła północ, rano zapiął kogut i duch z przyrośniętym kamieniem musiał uciekać do swoich. Wybierał się na Ziemię jeszcze czwarty duch, ale Lucyfer mówi:

– Nie idź, bo go nie weźmiesz, wytłucze nam całe piekło.

Ale tak jak każdemu i naszemu kowalowi przyszedł czas odejścia z tego świata. Prosi więc rodzinę o fajkę i dubeltówkę. Przed śmiercią nie można nikomu niczego odmawiać. I tak też się stało.

Wtedy to przyleciał czwarty duch i powiada:

– Zaopiekuję się tobą w drodze.

Idą więc sobie obaj, nawet nie jest im markotno. Kowal podśpiewuje, co pewien czas nabija fajkę i pali z lubością. Duch zaczyna się obliżywać łakomie i prosi:

– Daj mi trochę popalić.

– Dobrze, dam ci, ale inną fajkę.

Mówiąc to nabił dubeltówkę i dał duchowi. Ten nie bacząc na nic naciska kurek, raniąc się okropnie.

Tak się skończyło diabelskie palenie. Uciekł w popłochu do piekła, ale mu bramę zawarto przed nosem. Do piekła nie wpuszczono także kowala. Na wszystkie złe duchy padł blady strach. Wtedy kowal poszedł dalej i zaszedł do bram niebieskich.

– Czego chcesz? – pyta się go Święty Piotr. – Nieba?

Skruszony odparł twierdząco:

– Zapytam Pana Jezusa – mówił dalej niebiański klucznik.

Wtedy Pan Jezus powiedział, by go wpuścić. I tak się stało.

Gadka z Ostrówka, Witowt.

„Wiśła” 1905, tom 19.



ZAMIAST POSŁOWIA

„Nie powstał dotychczas pełniejszy zbiór podań i legend (a także opowieści, baśni czy bajek) z Lubelskiego, chociaż są miejscowości i obszary, które mają swoje opracowania.

Z drugiej strony tematyka ta stale jest obecna we współczesnym piśmiennictwie ludowym, w regionalistyce, w literaturze pięknej wreszcie. W tym przypadku szczególnie od lat sześćdziesiątych XX w. ukazało się bardzo wiele udanych pozycji literackich, inspirowanych tematyką podań i legend. Zaliczyć tu można Heleny Platy (1908–1979) „Interludia lubelskie” (część I – „Wieki”, Lublin 1962), „Opowieści znad Piwonii” Apolinarego Nosalskiego (Lublin 1978), „Czarną różę” Krystyny i Ryszarda Kornackich (Biała Podlaska 1993), czy wreszcie bardzo bogatą twórczość z tego zakresu Longina Jana Okonia o tematyce chełmskiej, zapoczątkowaną „Legendami chełmskimi” (Lublin 1969) i wiele innych książek. Cechą charakterystyczną większości z nich jest koncentracja uwagi autorów na wybranym terenie, zwykle swęgo zamieszkania (...)”

„Legends, podania, inne opowieści z Lubelskiego”

– wybór, oprac. i wstęp Adam Wójcikowski, Włodzimierz Wójcikowski.

MAGICZNY ŚWIAT BAŚNI

– FRAGMENT WYWIADU Z AUTORAMI

– Skąd czerpalicie Państwo inspirację do nowej książki?

– Baśnie i legendy rządzą się swoimi prawami i trudno w zasadzie tworzyć je od początku. Staraliśmy się dotrzeć do źródeł zakodowanych w pamięci starszych wiekiem Podlasiaków. Próbowaliśmy mozolnie odtwarzać je na podstawie licznych rozmów ze starymi mieszkańcami Międzyrzecza Podlaskiego, Łózek, Ostrówek, Rzeczycy i Turowa. Trwało to dość długo, ale zamierzony cel osiągnęliśmy. Z pomocą przyszło nam też archiwalne opracowanie baśni przez Witolda Prackiego byłego nadleśniczego z Międzyrzecza. Pracki wędrując po okolicznych wsiach zapisywał ustne przekazy

z kręgu gawędziarzy. Robił to jednak w sposób wyrywkowy i publikował drukiem w latach 1903-1905 w czasopiśmie „Wisła”. Kiedy sięgnęliśmy do jego zapisków znajdujących się w bibliotece uniwersyteckiej KUL w Lublinie, zorientowaliśmy się, że wymagają one solidnego opracowania literackiego, z racji choćby licznych niekonsekwencji i stosowanej gwary. Sądzymy, że nasze wysiłki znajdą zrozumienie nie tylko najmłodszego czytelnika.

Baśnie i legendy są lekturą bardzo pouczającą. Dzięki nim można poznać dawne zwyczaje, wierzenia i obrzędy okolicznościowe ludności zamieszkującej na tych terenach. Znaleźć w nich też można jakże potrzebne prostym ludziom marzenia i tęsknoty za prawdą, szczęściem i sprawiedliwością, która karze złych a nagradza dobrych.

Rozmawiał IGR (Istran Grabowski)

„Słowo Podlasia” nr 34 (488) z 24 VIII 1989 r.

BAŚNIE I OPOWIADANIA ZNAD KRZNY

(...) Baśń dzieciństwa trwa – w nas. Nie mniej zakorzeniają się w pamięci, a nierzadko w całej osobowości, baśnie zasłyszane w dzieciństwie od babć i dziadków, od starszych ludzi, którzy jeszcze dla mojego pokolenia, sami – nie tylko ich bajania, pozostali tajemniczy, romantyczni. Tak pewnie bywało zawsze – aż do stechnicyzowanej, obdartej z nimbu czarodziejstwa współczesności, do nabrzmiałego mnogością konfliktów XX wieku, który przede wszystkim takie brzemie zostawił w spadku na starcie do nowego tysiąclecia (...)

(...) Co zatem przyciąga naszą uwagę podczas lektury? Otóż nie tylko wymowa społeczna, tj. takie komponowanie zdarzeń by w ich finale zwyciężała ludowa sprawiedliwość, lecz może urzekająca aura tych zdarzeń, krwiście kreowane postacie (ludzi i zwierząt), ich czyny, aura narracji wreszcie, co prawda, Kornaccy zrezygnowali tu z autentycznej gwary (zapewne dla komunikatywności narracji: ilu spośród dziś czytających zagłębia się z przyjemnością a choćby tylko z zaciekawieniem np.:

w powieści „Na skalnym Podhalu”, ilu którejkolwiek z polskich gwar rozumie? – wszak nasze czasy przetworzyły czystą rzekę różnorodnej polszczyzny w ściek nowomowy itp. zanieczyszczenia), ale ta rezygnacja nie umniejsza ani autentyzmu treści, ani precyzji narracji, ani też siły nastroju. Przeciwnie: jasność stylu i prostota języka najpierw wciągają nas w lekturę, a potem każą – jak dobre wiersze – wracać do siebie, smakować całość i części, przymierzać wizję świata przedstawionego ze światem własnej wiedzy, doświadczeń i wyobraźni, wreszcie snuć refleksje – nawet o kondycji człowieka współczesnego po prostu paralelnie z człowiekiem tam ukazanym (...)

(...) Zbiorek Krystyny Ryszarda Kornackich jest próbą o dwojakim pożytku: utrwała regionalny dorobek z zakresu kultury słowa oraz skłania do refleksji nad po-
niechanymi lub wypaczonymi wartościami społecznymi. Bogaci także piśmienniczy dorobek regionu i przyczynia się do uaktywnienia związków między dawniejszą a obecną mentalnością czytelników, niejednemu zaś uświadamia, że nie zawsze jesteśmy lepsi i mądrzejsi od naszych przodków i że korzenie naszej kultury – tej wielkiej i tej codziennej – znajdują się przede wszystkim w rodzinnej tradycji. Z niej się wy-
wodzimy, ją też winniśmy w sobie kultywować. Zamiast bezmyślnie wystawiać własną tożsamość na faszeringowanie jej wyłącznie modnymi acz obcymi, niestety wzorami. Nie będąc sobą, nie rozumie się innych. Nie czując własnych źródeł, nie umie się korzystać z najlepszych nawet osiągnięć kultury ogólnoludzkiej.

Rafał Orlewski – Piotrków Trybunalski
„Głos Międzyrzecki” nr 14 z 1993 r., s. 10.

SPIS TREŚCI

Wstęp	7
Opowieść o międzyrzeckim dziedzicu	11
O Złotym, Srebrnym i Brązowym Żwirku	13
Jak diabeł został parobkiem?	18
Kogut i wiatr	21
Młynarz przemieniony w niedźwiedzia	23
Dlaczego bociana nazywamy Wojtkiem?	26
O Żydzie co na Ewangelii zrobił dobry interes	28
O starym ojcu i trzech synach	33
Zmyślny Bartek	44
Król węży i zamawiacz	46
Organy samograje	51
Dziewczyna o złotych kędziorach	54
Prawda i Krzywda	59
Gdzieżeś się podział czarny baranie	64
O pracowitej Marysi i leniwej Hance	70
Dwa pierścienie	76
Cudowne podarki	80
Szewc i języki	85
O chytrym chłopie, który płatał figle zwierzętom	86
Czarna róża	88
Sprytny piecuch	93
Los kowala	96
Zamiast postowia	99



KRYSTYNA I RYSZARD KORNACCY

... twórcy związani od lat z Międzyrzecem Podlaskim, regionaliści, autorzy książek poetyckich i prozatorskich oraz antologii z twórczością młodych adeptów pióra, pomysłodawcy i współorganizatorzy Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Marii Konopnickiej dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjów oraz szkół ponadgimnazjalnych, długoletni nauczyciele międzyrzeckich szkół.



ISBN 83-913897-9-0